

Przeżyte chwile nie giną - wspomnienia ks. Jana Bukowca

Kalendarz Azteków w Limanowej

Niedokończony artykuł:
Osiedle i ulica Marsów

Dług wdzięczności - pamięci
lek. med. Jerzego Dziejzica

Z archiwum Jana Wielka
„Dwory i dworki”
w parafii Łososina Górna

Nagroda fundacji
im. Władysława Orkana
dla Zofii Wiśniewskiej

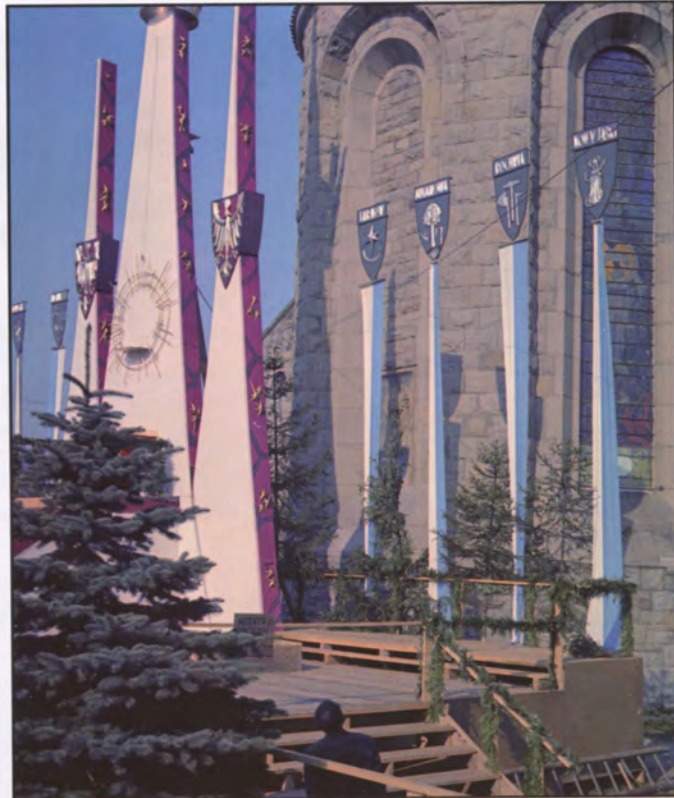
Miasto widziane
z wieży limanowskiego kościoła
w 1940 roku

Dlaczego F. S. Piwowar
zasłużył na najwyższy
wymiar kary?

Limanowskie wspomnienia
„epoki minionej”

Góralu, czy ci nie żal...
Emigracja z Galicji





Przygotowania do koronacji Piety limanowskiej

Fot. 1 - Dekorację przed głównym portalem stanowił napis umieszczony na ścianie frontowej kościoła: **MAGNIFICAT - UWIELBIENIE** i flagi w barwach Maryjnych poniżej.

Fot. 2 - Pod ołtarzem połowym na tyłach kościoła od strony prezbiterium widniał drukowany napis: **LIMANOWSKA PANI, MATKO NASZA DROGA, IDZIEMY DO CIEBIE, PROWADŹ NAS DO BOGA**. Projekt ołtarza połowego i całej dekoracji opracował brat Piotr Szafrank ze Zgromadzenia Chrystusowców (Puszczykowo pod Poznaniem).

Fot. 3 - Na placu koronacyjnym rozmieszczono konfesjonały przenośne w formie kłęczników w przeddzień koronacji.

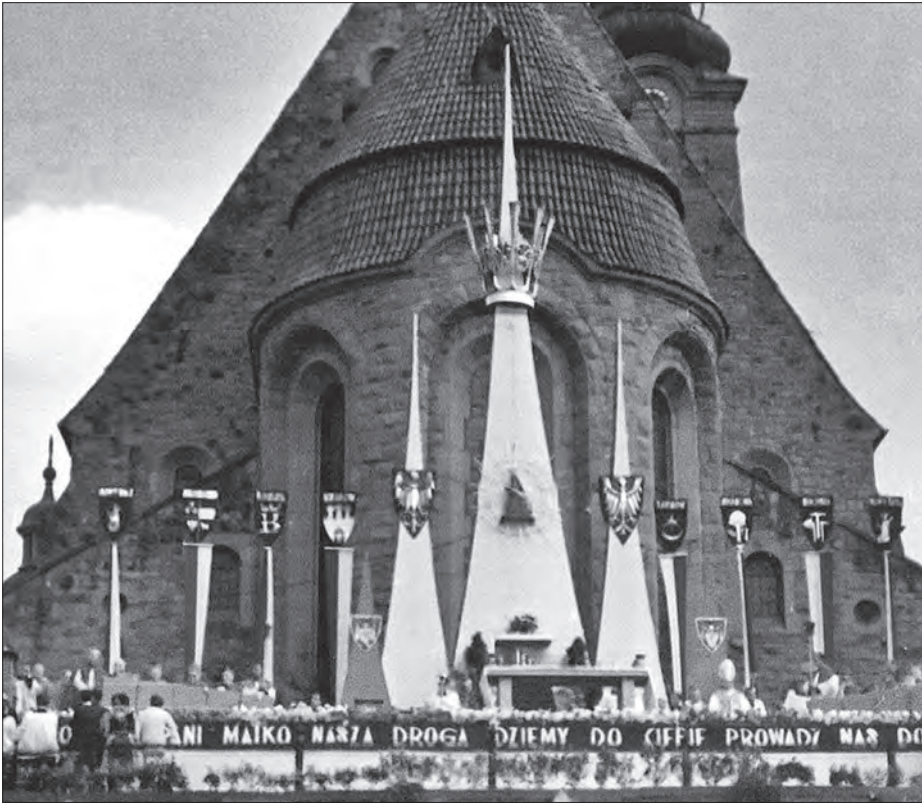
Fot. 4 - Uwagę zwraca zaplecze kulinarne dla pielgrzymów usytuowane na placu koronacyjnym (beczki drewniane z kiszonymi ogórkami, wzbudziły gniew ze strony proboszcza parafii ks. Ludwika Kowalskiego).

Fot. 5 - Oczekiwany gość - ks. arcybiskup Karol Wojtyła przybył na uroczystości milenijne diecezji tarnowskiej połączone z koronacją Piety limanowskiej - 11 września 1966 r.



Fot. Zbigniew Grochot

Fotografie: Józef Staniszewki, 1966 rok



Głównym elementem ołtarza były trzy duże stelaże w kształcie trójkątów. Środkowy, wyższy i szerszy zakończony był złotą koroną. Na bocznych stelażach umieszczono u góry orły piastowskie.

W związku z urodzinami i rocznicami ks. Prałata niżej podpisany wraz z Redakcją „Echa Limanowskiego” składa zawnemu Jubilatowi i Solenizantowi Najlepsze i Szczerze Życzenia długich lat życia, Błogosławieństwa Bożego oraz Opieki Matki Najświętszej i Świętych Patronów.

Wspomnienia

Ks. Prał. Jan Bukowiec zgodził się udzielić wypowiedzi wspomnieniowych do „Echa Limanowskiego”, związanych z przygotowaniem i koronacją Piety limanowskiej, której 50. rocznicę koronacji będziemy obchodzić już za rok 11 września 2016 roku. We wspomnieniach ks. Prałata przebiega niezwykle skromność, prostota wypowiedzi oraz ogromna, ujmująca szczerłość i kultura słowa, a także niezwykle poczucie humoru nawet wówczas, gdy mówi on o sprawach ważnych i poważnych.

Ks. Prałat mówi tak: *Do Limanowej-Sowlin przyjechałem 25 listopada 1964 r., a więc niespełna dwa lata przed koronacją Piety limanowskiej. Wówczas nie byłem w ogóle zorientowany (jak wielu rówieśników*

Przeżyte chwile nie giną

Wspomnienia Ks. Prałata Jana Bukowca - cz. 1

Wprowadzenie

Ks. Prał. Jan Bukowiec, zasłużony kapłan diecezji tarnowskiej, znany przede wszystkim jako budowniczy w trudnych komunistycznych czasach kościoła pw. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach i długoletni proboszcz tejże parafii oraz wicedziekan limanowski, urodził się 29 lipca 1934 r. W rozmowie ze mną ks. Prałat powiedział: *liczba 29 jest ściśle związana z moim życiem, a więc i życiorysem, bowiem urodziłem się 29 lipca, 29 sierpnia obchodzę imieniny, a 29 września 1957 r. miałem święcenia kapłańskie, a zatem każdego roku w dniu 29 września, w dniu św. Michała Archanioła przypada kolejna rocznica moich święceń kapłańskich. Przypomina mi ona głęboko zanurzone w Bogu Imię, Michael tłumaczące się z języka hebrajskiego na język polski jako - Któż jak Bóg. Znaczy ono dla mnie bardzo wiele, bo któż może mierzyć się z wszechmocną potęgą Boga, ale mówi ono także o Bojaźni Bożej, którą wierzący człowiek żywi wobec Majestatu Stwórcy. Właśnie w tym dniu przyszło mi przyjąć święcenia kapłańskie i stać się sługą w winnicy Pańskiej.*



Pod murem kościoła widoczny wieczernek ogrodzony balaskami.

z mojego otoczenia), że w Limanowej jest taki wspaniały kościół, a w nim tron obrała Matka Boska Bolesna, zwana Limanowską. W Limanowej-Sowlinach zostałem wikariuszem przy rektoracie, którego administratorem był ks. Władysław Ślęka. Ponadto byłem katechetą, uczyłem religii w szkołach średnich i podstawowych, prowadziłem duszpasterstwo oraz miałem obchód szpitalny jako pomocnik ks. Ślęka, który pełnił funkcję miejscowego kapelana. Z czasem poznałem miejscowe (sowlińskie i limanowskie) środowisko i już więcej wiedziałem o dziejach Piety limanowskiej, do której coraz więcej pielgrzymów i wiernych z różnych stron Podhala i Beskidów, a nawet z głębi Polski i zza granicy z różnymi sprawami życiowymi udawało się o pomoc, błagając Ją o wsparcie, prosząc o zdrowie i przemianę życia swojego i najbliższych. Wiadomości te i wiedzę czerpałem z opracowań ks. dr. Piotra Bednarczyka (późniejszego biskupa), a także od samego proboszcza limanowskiego ks. dr. Ludwika Kowalskiego oraz z własnych obserwacji. Obaj wymienieni księża prowadzili bezpośrednie pertraktacje z władzami lokalnymi w sprawach dotyczących przygotowań i koronacji.

W 1965 r. średniowieczną, XIV wieczną figurę Matki Boskiej Bolesnej Limanowskiej oddano do konserwacji w Krakowie. Po wielu miesiącach pracy w pracowni konserwatorskiej na Wawelu państwo Szymborscy przywrócili figurze stan pierwotny. Oczyszczono ją z wielokrotnych przemalowań (nawarstwień) i nalotów (szaro-czarnej tłustej powłoki), jakie powstały w czasie pobytu Piety w kaplicy w Mordarce i starym kościele limanowskim, w których świecono świecami.

Po przeprowadzonej konserwacji figura MB Limanowskiej wyruszyła z Krakowa do Limanowej w tzw. samochodzie-kaplicy. Okna domów były na tę okoliczność przystrojone, w wielu z nich widniały obrazy z wizerunkami MB Limanowskiej, a na poboczach ulic i chodnikach gromadziły się grupy wiernych i pielgrzymów, czekając na Jej przyjazd. Jedni modlili się, inni klaskali, jeszcze inni wymachiwali w stronę wolno przejeżdżającego samochodu, zdążającego w kierunku kościoła. Radość napędzała serca limanowian, że ukochana Matka powraca do swoich. Zaraz po wniesieniu figury MB do kościoła odbyła się uroczysta Msza św., na którą przybyły pielgrzymki z dekanatu i okolicy. Wówczas to podano do wiadomości, że w Limanowej



Podczas uroczystej procesji Cudowną Figurę Matki Bożej Bolesnej (w pierwotnej polichromii) na lektyce przeniesiono do samochodu, by przewieźć ją do konserwacji w Krakowie. Figurę nieśli kapłani, od przodu: z lewej ks. prałat Piotr Bednarczyk - późniejszy biskup, ks. Jan Rachwał - katecheta wielu pokoleń limanowian, z tyłu od lewej: ks. prałat Bernard Dziedziak - dziekan limanowski, proboszcz z Ujanowic, ks. prałat Ludwik Kowalski - proboszcz parafii limanowskiej.

trwają przygotowania do koronacji Piety limanowskiej. W kościele limanowskim trwała już bowiem przebudowa ołtarza głównego według proj. arch. Zbigniewa Wzorka. Na tą uroczystość powrotu MB Limanowskiej i Jej uroczyste przywitanie przyjechał bp Karol Pękala z Tarnowa. Ogłoszono wówczas peregrynację Piety limanowskiej po dekanacie limanowskim i okolicznych parafiach.

Po uroczystościach odbyło się zebranie, w którym uczestniczyło wielu księży z dekanatu limanowskiego i tymbarckiego (w tym proboszczowie). Spośród nich wyłoniono zespół, który był odpowiedzialny za przygotowanie i organizację uroczystości koronacyjnych Piety limanowskiej. Los padł między innymi i na mnie - mówi ks. prał. Jan Bukowiec - zostałem porządkowym z ramienia Komitetu Kościelnego. Ks. Jan Rachwał był odpowiedzialny za parkingi, ks. Jan Młynarczyk - prawdopodobnie za służbę zdrowia, ks. Antoni Szydłowski miał pieczę nad liturgią, zaś ks. Józef Fulara ze Stróży ze swoją grupą teatralną miał przygotować występ artystyczny ukazujący dzieje MB Limanowskiej od Jej przybycia - jak głosi tradycja z Wągier - do wsi Mordarka aż po dzień Jej koronacji w Limanowej.

Spotkania komitetu odbywały się początkowo co dwa, później co miesiąc i każdy z tych, którzy zostali wybrani i wyznaczeni do poszczególnych zadań, musiał podczas zebrań komitetu zdawać sprawozdanie, co zrobił w międzyczasie

w sprawie przygotowań do koronacji. Trzeba dodać, że wszystko było omawiane i dyskutowane do najmniejszych szczegółów, a zatem przemyślane i zorganizowane z ogromną odpowiedzialnością i pieczołowitością. Przygotowania przebiegały poprzez realizację konkretnych, z góry założonych zadań. Na przykład podczas spotkań pytano mnie - mówi ks. Prałat: Ile ludzi potrzebuję do pomocy. Miałem do dyspozycji 120 osób tzw. porządkowych i 20 kleryków, którzy - nie wiedząc dlaczego - początkowo nie chcieli założyć czapek porządkowych.

Aby organizacja ruchu pielgrzymkowego była sprawna, musiał być sporządzony dokładny plan miasta (wykreślona każda ulica, uliczka i drogi dojścia do placu koronacyjnego). Była to -jak spoglądam dzisiaj z perspektywy lat - idealna logistyka, w tym także dyscyplina i dokładna organizacja. Na ten plan sytuacyjny (na wykreślony rzut rynku, na główne ulice, uliczki i drogi dojścia) naniesiono dokładną ilość ludzi porządkowych, którzy byli potrzebni przy poszczególnych punktach strategicznych. By wzmocnić miejscową milicję, z Łodzi sprowadzono milicjantów ze Szkoły Milicyjnej.

Także władza nie próżnowała. Przez długi czas przygotowań, a także i po nich trwały inwigilacje, przesłuchania przez ówczesne władze miejscowe (np. przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej), organa Milicji Obywatelskiej czy Urzędu Bezpieczeństwa. „Zadbano” też o to, aby na czas koronacji wywieźć młodzież



Ks. Jan Bukowiec - w czasie uroczystości koronacyjnych był odpowiedzialny za służby porządkowe.

licealną i pedagogiczną do Ośrodka na Lubogoszczy koło Mszany Dolnej, by nie brała udziału w uroczystościach. Młodzież wywieziona specjalnym pociągami do Mszany Dolnej. Ale zdarzył się ciekawy zbieg okoliczności, bowiem tym samym pociągami w kursie powrotnym pielgrzymi przyjechali do Limanowej na koronację. Natomiast większość wywiezionej na Lubogoszcz młodzieży, wróciła nazajutrz rankiem pieszo do Limanowej, traktując tę „piechotną podróż” jako szczególną pielgrzymkę do Matki Najświętszej.

Kilka spotkań przygotowawczych poświęconych było już samej organizacji pielgrzymek, czyli jak skutecznie prowadzić pielgrzymów z różnych punktów miasta w kierunku placu koronacyjnego. Odpowiedni ludzie pomierzyli plac i stwierdzili, że może on pomieścić od 100 do 120 tys. osób. Już od wieczora poprzedniego dnia byliśmy w pogotowiu i na posterunku. Ubrani byliśmy w żółte furazerkę z napisem z boku: PORZĄDKOWY. Do północy z 10 na 11 września czas upływał bardzo spokojnie (mnie osobiście - mówi ks. Prałat - chciało się spać i musiałem walczyć ze snem). Od północy zaczął się wzmacniać ruch, ale nie stwarzał on większych kłopotów aż do świtu. Teraz dopiero coraz więcej pielgrzymów zaczęło przybywać. Nie obeszło się też bez drobnych incydentów. Zaczęli - jak zwykle przy odpustach i większych uroczystościach - zjeżdżać się kramarze i kilku z nich wpakowało się na plac koronacyjny, co ogromnie rozgniewało ks. proboszcza Ludwika Kowalskiego. Trzeba ich było stamtąd usunąć. W sukurs przyszli porządkowi.

Największy ruch zaczął się ok. godziny 9⁰⁰, a ok. godz. 10⁰⁰ osiągnął swoje apogeum. Wówczas po kilkunastu minutach cały plac koronacyjny wypełnił się pielgrzymami. Wtedy też przed plebanią zaczęły podjeżdżać liczne limuzyny wiozące poszczególnych biskupów (warto przypomnieć, że było ich ok. 30). Ja - mówi ks. Prałat - stałem przed kościołem i przez tubę megafonu kierowałem apele do pielgrzymów, którzy zdążyli z różnych kierunków: Męciny, Pisarzowej, Chomranic i Nowego Sącza, a także zza granicy (byli Węgrzy i Słowacy) w stronę kościoła, a trzeba ich było rozsądnie kierować na plac koronacyjny tak, by nie robili tłoku. Wówczas z Tarnowa przybyli bp Jerzy Ablewicz i bp Karol Pękala. Podobno między nimi doszło do takiej oto ciekawej rozmowy: Powiedźcie temu księdzu (z tubą megafonową), żeby nie mówił tak głośno. Na to bp Pękala: Ależ Księżę Biskupie - to porządkowy. Wśród porządkowych byli naturalnie też mundurowi (m.in. wspomniani milicjanci z Łodzi ze Szkoły Milicyjnej), oprócz tego - także tzw. tajniacy wmieszani w tłum.

Innym, wprawdzie zrozumiałym problemem, ale nie do zrealizowania był fakt, że wszyscy pielgrzymi chcieli najpierw iść do kościoła, by pokłonić się Matce Bożej, ale było to przecież niemożliwe ze względu na brak miejsca w świątyni, bowiem formułowała się procesja z feretronami, delegacjami i biskupami, (o niej w drugiej części) która zajmowała środek kościoła i plac przedkościelny. Trzeba więc było informować, tłumaczyć i kierować ludzi na plac koronacyjny, by gęstniejący tłum

nie robił cizb i zatorów. Zdarzył się - może to trochę mocno powiedziane - pewien incydent. Gdy szedłem - mówi ks. Prałat - od kościoła w stronę księgarni (dzisiejszą ul. Jana Pawła II), kierując przez megafon apele do pielgrzymów, jak mają iść w kierunku placu koronacyjnego, podszedł do mnie milicjant i - szorstkim, zdecydowanym głosem - zapytał: Kto księdza upoważnił do kierowania ruchem? Gdy mu wyjaśniłem, kim jestem i jakie postawiono przede mną zadanie, wówczas zmienił ton i zaczęliśmy razem kierować ruchem ulicznym i pielgrzymami.

Było też sporo problemów ze sprawnym pokierowaniem ruchem pielgrzymkowym i pieszym na skrzyżowaniach ulic i dróg. Milicja nie mogła sobie dać rady z ludźmi, którzy płynęli dwoma strumieniami na skrzyżowaniu w Sowlinach: jeden - z Ujanowic, a drugi - z Tymbarku. Żeby rozładować spiętrzenie pielgrzymów należało regularnie, na przemian puszczać ludzi raz z Ujanowic, następnie z Tymbarku. To newralgiczne skrzyżowanie w Sowlinach musiało również na przemian puszczać pielgrzymów zmotoryzowanych raz z Tymbarku, Mszany Dolnej, Rabki, Nowego Targu, Zakopanego i Krakowa, a następnie z Łososiny, Laskowej, Ujanowic, Bochni, Brzeska, Tarnowa, Dąbrowy Tarnowskiej, Rzeszowa i innych miejscowości, by nie stwarzać zatorów i upłynniać ruch. Dbano - przy pomocy porządkowych i milicji - o to, aby szlak uliczny od skrzyżowania w Sowlinach aż po kościół w Limanowej był przejezdny - drożny. Trzeba dodać, że obeszło się bez większych kolizji i korków. Dla autokarów przygotowane były place postojowe - parkingi (np. na boisku pod tartakiem - dzisiaj szpitalem powiatowym - było miejsce dla motocykli, a także furmanek). Takich punktów w mieście było kilka (chyba siedem), na których odnotowano różnorodne typy pojazdów (autokarów, autobusów, samochodów prywatnych, taksówek, motocykli, a nawet motorowerów i rowerów oraz innych środków lokomocji).

Nawiązując jeszcze do organizacji należy powiedzieć, że punktem medycznym na podziemiu plebanii zajmowały się siostry zakonne: s. Stanisława Jaworska i s. Helena Bruzdzińska (obydwie pracujące w limanowskim szpitalu). Miały one do dyspozycji kilkanaście pielęgniarek ubranych w strój szpitalny z odpowiednim wyposażeniem w sprzęt Czerwonego Krzyża. Były wśród nich też wolontariuszki, chyba z organizacji harcerskich.

Pielęgniarki-asystentki i wolontariuszki były rozstawione po placu w odpowiednich punktach medycznych, prowadząc punkty opatrunkowe pogotowia, gdyby ktoś zemdlął lub potrzebował aptecznej pomocy. Wszystkie braki (w materiały medyczne i opatrunkowe) uzupełniały na plebanii w punkcie medycznym. Do dyspozycji były dwie karetki pogotowia, stojące: jedna od strony Starej Wsi, druga od strony Sowlin. Prawdopodobnie jedna i druga udzielały potrzebnej pomocy. Organizacja była prężna, dobrze przygotowana. Zadbano też o przygotowanie prowizorycznych toalet (tzw. ustępów) na placach i polach biwakowych, co zresztą było koniecznością, gdyż zwiększyło to higienę i komfort pielgrzymów i osób przybywających na koronację.

Po wielu miesiącach mozolnych i pracowitych spotkań organizacyjnych, nadeszła wreszcie ta oczekiwana od dawna nie tylko przez samych limanowian chwila: 11 września 1966 r. odbyły się w Limanowej Centralne Uroczystości Obchodów 1000-lecia Chrztu Polski dla całej Diecezji Tarnowskiej, a w ich ramach Koronacja Piety Limanowskiej, o co zadbali i zarządził jej duszpasterz ks. bp dr Jerzy Ablewicz - Ordynariusz Tarnowski.

**Wspomnienia ks. prał. Jana Bukowca
zanotował i komentarzem opatrzył
Józef Szymon Wroński**

Fragment placu koronacyjnego.



Jan Wielek

Niedokończony artykuł Osiedle i ulica Marsów

W historycznych wędrowkach po placach i ulicach miasta Limanowa, zapraszam dzisiaj na osiedle i ulicę, którym nadano nazwę „Marsów”. To ziemiańska rodzina, do Limanowej, a właściwie do Starej Wsi k. Limanowej, przybyła w połowie XIX stulecia. Pisał o tym obszernie w kilku wydaniach „Echa Limanowskiego” Stanisław Ocieпка. Przypomnę tylko, że pierwszym „limanowskim” Marsem był Antoni Józef, który w posiadanie majątku limanowskiego wszedł jako mąż Franciszki z Żelechowskich h. Ciołek. Jednym ze spadkobierców był syn Zygmunt

Feliks Ignacy Mars, ostatni dziedzic na dworze starowiejskim. Mija właśnie 70 lat od jego śmierci i to najważniejsza przesłanka do napisania tego tekstu.

By z centrum miasta (Rynku) trafić na osiedle Marsów, najlepiej udać się ulicą Józefa Marka, skręcić później w lewo, na ul. Zygmunta Augusta, a później w prawo, w pnącą się ku górze ulicę Żwirki i Wigury.

To co idąc lub jadąc, zobaczymy, stoi na należącym do rodziny Marsów folwarku – czyli majątku ziemskim zwanym „Marciszówką”, jednym z czterech, położonych na obszarze



Samolot RWD-8 na tzw. „dworskich polach” - lata trzydzieste ubiegłego stulecia.



Na pola Marsów w Starej Wsi zwanej „Wolą” po drodze bitej jedzie traktor Lantz Bulldog. Po lewej stronie budynki gospodarze majątku - okres okupacji hitlerowskiej.

Starej Wsi, stanowiącym historyczne uposażenie dworu starowiejskiego. Pnąca się bez przerwy w górę ulica, to dawna, nazwijmy to gospodarska droga tego folwarku. Z części Starej Wsi, zwanej „Wolą” z Jabłońca od wieków jeżdżono doliną potoku Jabłońiec. Nowa droga, której częścią jest ulica Żwirki i Wigury, powstała w okresie międzywojennym, zaś po II wojnie światowej, systematycznie wydłużana i utwardzana, uzyskała status „powiatowy”, łączący Limanową, przez Siekierczynę, Roztokę z gminą Łukowica.

Słynni polscy piloci: Franciszek Żwirko i inż. Stanisław Wigura, którzy stali się narodowymi bohaterami po zwycięstwie w 1932 r. w zawodach Challenge i zdobyciu Pucharu Świata, patronami limanowskiej ulicy zostali chyba przez przypadek. To w okresie marzeń ówczesnych władz miejskich o przesadnej wielkości Limanowej i przyrównaniu jej do stołecznej Warszawy. To tam, z centrum na wielkie, międzynarodowe lotnisko dojeżdża się ulicą, noszącą imiona wielkich lotników. W Limanowej, na „dworskich polach” - czyli tam, gdzie jest dzisiaj osiedle Marsów, było też symboliczne, dzięki lądowisko, na którym przed wojną wylądował samolot sportowy, zaś później w latach 50.-70. ubiegłego stulecia sporadycznie lądowały dwupłatowce samoloty sanitarne, zwane „kukuruźniakami”. Przyłot takiego samolotu był wielką atrakcją – zwłaszcza dla zlatującej się z całej okolicy dzieciarni. Wiadomym znakiem, że tu jest lotnisko, była kilkumetrowa żelazna rura z zawieszonym u góry białym płóciennym rękawem, wskazującym kierunek wiejącego wiatru. (...)!!!

Tyle tekstu zdążył Jan uporządkować przed pójściem do szpitala. Pozostawił również notatki odnoszące się do życia i działalności Zygmunta Marsa, które miały posłużyć mu do dalszej pracy nad artykułem.

Jak pisałem w wspomnieniach o Janku - ostatnie wydanie „Echa” - po raz ostatni rozmawiałem z Nim w piątek 15 maja. Umówiłem się na wtorek 19 maja, aby odebrać szkic o Zygmuncie Marsie, który był niedokończony. Co stało się później, wiemy.

W tydzień po Jego śmierci odwiedziłem Stanisławę, żonę Jana, aby odebrać fotografie do artykułu wspomnieniowego o Nim. Na biurku leżał niedokończony wspomniany materiał o osiedlu i ulicy Marsa.

Życie napisało inny scenariusz. Podjąłem więc próbę dokończenia tekstu.

Jestem świadomy, iż stylowi pisania Janka trudno będzie sprostać. Artykuły Jego pisane językiem prostym, miały charakter gawędziarski. Czytało się je z wielką przyjemnością.

Zygmunt Mars

- w 70. rocznicę śmierci



Zygmunt Feliks Ignacy Mars (1859-1945)

Zygmunt Feliks Ignacy Mars urodził się 16 marca 1859 r. w Starej Wsi, jako kolejne szóste dziecko spośród dziewięciorga w rodzinie Franciszki i Józefa Marsów h. Noga. Był trzecim dzieckiem Marsów, urodzonym w majątku w Starej Wsi - Limanowej, który to majątek matka Franciszka z Żelechowskich h. Ciołek, uzyskała drogą koligacji rodzinnych, o czym pisałem w artykule zatytułowanym: „ Jak Marsowie weszli w posiadanie majątku w Limanowej” („EL” nr 246- 247 z 2015 r.).



Na werandzie dworu w Starej Wsi-Limanowej.



Zygmunt Mars z żoną Jadwigą.

O wykształceniu Zygmunta nie wiadomo nic. Znanе jest natomiast Jego zaangażowanie społeczne oraz zasługi w działalności gospodarczej w Limanowej.

Był bardzo uzdolniony plastycznie. Wykonywał różnego rodzaju rysunki m. in. sporządził szkic zwieńczenia górnego portalu wieży limanowskiego, starego, drewnianego kościoła, który przesłał Zdzisławowi Mączeńskiemu projektantowi nowego kościoła w Limanowej. Mączeński zaś szkice te zamieścił w „Przeglądzie Technicznym”. W okresie wakacji zapraszał do dworu studentów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na dwutygodniowe plenery malarskie. Dwukrotnie ze studentami w Limanowej był Stanisław Wyspiański. Owocem tego pobytu jest portret Zygmunta Marsa namalowany przez Wyspiańskiego, który do dnia dzisiejszego przechowywany jest w rodzinnych zbiorach Marsów.

Zygmunt Mars wspierał inicjatywę ks. Kazimierza Łazarskiego budowy kościoła w Limanowej i aktywnie pomagał mu w realizacji tego dzieła. Był kolatorem tego kościoła. Przyjaźnił się z proboszczem limanowskim, często grywał z nim w szachy. Kiedy chciał zirytować prałata twierdził, iż wieża limanowskiego kościoła jest krzywa, co często mu się

udawało. Kiedy 3 maja 1891 r. utworzono Komitet Budowy Kościoła w Limanowej, wszedł w jego skład i został wybrany wiceprzewodniczącym Komitetu. On to właśnie jako znawca sztuki reprezentował limanowski Komitet z prawem głosu podczas konkursu na projekt: Kościół w Limanowej, który został przeprowadzony w 1908 roku w Krakowie. Konkursowi przewodniczył Władysław Marconi, wybitny architekt warszawski, pochodzenia włoskiego.

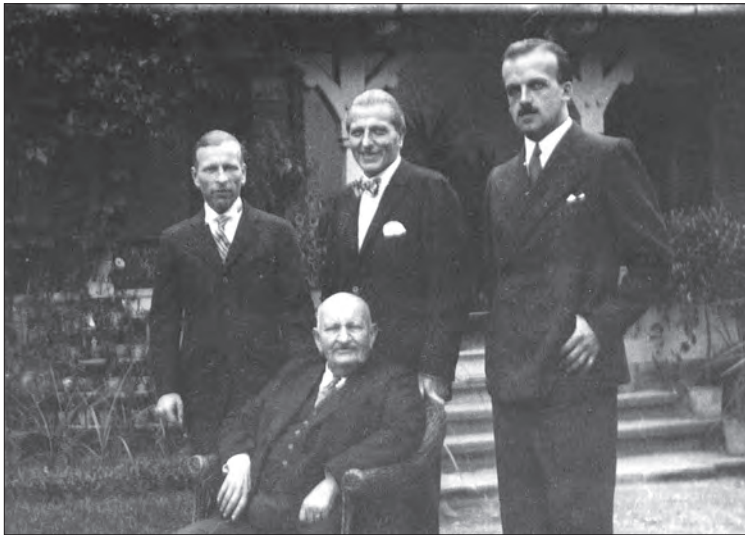
Z konkursem tym wiąże się pewien niezręczny epizod o którym pisał w „Echu” dr Józef Szymon Wroński: *Po zdobyciu I nagrody przez młodego architekta warszawskiego inż. Zdzisława Mączeńskiego w krakowskim konkursie w maju 1909 r. wysłał on do Limanowej list zaadresowany do marszałka Zygmunta Marsa. W liście tym opisuje swoje referencje. Prezentacja curriculum vitae miała na celu zaznajomienie inwestora i przewodniczącego Komitetu Budowy Kościoła z autorem zwycięskiego projektu licząc na rychłą współpracę z nimi zgodnie z postanowieniem jury konkursowego, że „projekt zwycięski przeznaczony zostanie do realizacji”. Niestety pomylił przewodniczących. W błąd Mączeńskiego wprowadził Marconi. W następnym liście, skierowanym już do ks.*



Pod obeliskiem Nieznanego Żołnierza przedstawiciele limanowskiej elity z lat międzywojennych. Pośrodku Zygmunt Mars (w czapce baraniej).



Przed rafinerią nafty w Sowlinach. Spotkanie z okazji 25-lecia rafinerii.



Przed dworem Zsigmond Mars w gronie bratanków. Od lewej Krzysztof - syn Kazimierza, Grzegorz - syn Antoniego i Witold - syn Tadeusza.



Jubileusz 50-lecia małżeństwa Jadwigi z domu Zielińskiej i Zsigmonda Marsów. 4 września 1937 rok.

Łazarskiego przeprosił proboszcza limanowskiego za małe faux pas, że przewodniczącym Budowy Kościoła w Limanowej jest Zsigmond Mars. Następne listy adresowane były już wyłącznie do przewodniczącego Komitetu, którym był ks. Łazarski.

Sam Zsigmond Mars miał wpływ na koncepcję artystyczną stalli (drewniane ławki), które umieszczone są w prezbiterium limanowskiego kościoła.

Jako marszałek powiatu limanowskiego w 1899 r. zatrudnił na stanowisku sekretarza Rady powiatu Józefa Beka. Od tego momentu obie rodziny prowadziły ożywioną działalność społeczną i samorządową i stały się inicjatorami życia kulturalnego i oświatowego na Ziemi Limanowskiej.

Zsigmond Mars aktywnie działał w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, m. in. udostępnił budynek w dworskich zabudowaniach w Starej Wsi na salkę gimnastyczną oraz teren pod boisko do gier i zabaw do czasu przeniesienia tej organizacji do własnej „sokolni” wybudowanej i uroczystie oddanej do użytku w 1910 r.

Stał na czele zarządu limanowskiego oddziału krakowskiego Towarzystwa Rolniczego, utworzonego w 1911 roku.

W roku 1912 jako przedstawiciel Wydziału Powiatowego pośredniczył z Józefem Bekiem w kupnie ziemi podworskiej w Łososinie Górnej z przeznaczeniem na zakład wychowawczy dla osieroconych chłopskich dzieci, a w 1920 r. współdecydował w imieniu tego Wydziału o przeznaczeniu tego majątku na Szkołę Rolniczą.

Podczas bitwy w grudniu 1914 r. w jego dworze umieszczona była austriacka stacja telegraficzna. W czasie bitwy limanowskiej część zabudowań gospodarczych uległa spaleni, dwór Marsów poniósł duże straty. Po I wojnie światowej Zsigmond przystąpił do odbudowy zniszczonego majątku. Zwiększył hodowlę bydła czerwonego rasy polskiej, którą prowadził jeszcze przed I wojną światową z bardzo dobrym rezultatem. W 1905 roku na wystawie w Wiedniu jego buhaj otrzymał złoty medal. Jego społeczna działalność została doceniona, 17 lipca 1929 roku w dworze starowiejskim spędził noc sam prezydent II Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki.

Jego prywatne życie nie układało się pomyślnie. W 1887 roku ożenił się z Jadwigą z Zielińskich z Kłęczan. Niestety małżeństwo ►



Obchody dwudziestolecia Pierwszej Oficerskiej Szkoły Strzeleckiej w Stróży założonej przez Józefa Piłsudskiego. Pośrodku siedzi Zsigmond Mars - marszałek powiatu.



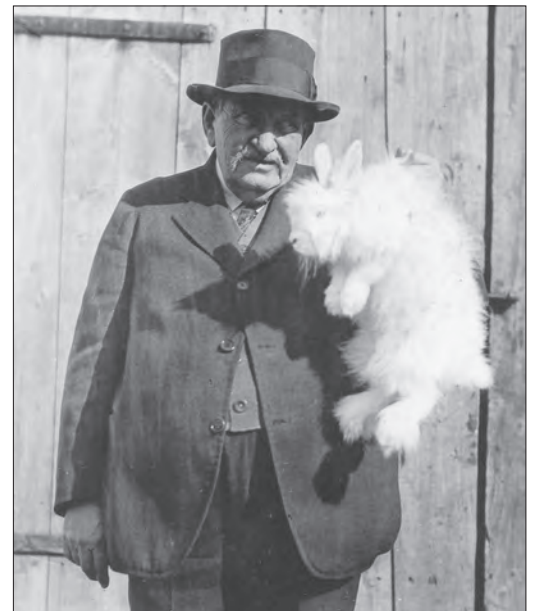
Przed Szkołą Rolniczą w Łososinie Górnej.



Hodowla polskiego bydła rasy czerwonej w majątku Marsów.



Zygmunt Mars, dziedzic starowiejskiego majątku w czasie żniw w 1910 roku.



Zygmunt Mars prezentuje królika rasy angora.

ich było bezdzietne. Po ojcu odziedziczył dwór w Limanowej i część majątku wraz z browarem. Współwłaścicielem tego majątku był jego bratanek, Grzegorz Mars, syn Antoniego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i Lwowskiego.

Kiedy Zygmunt Mars był już leciwym człowiekiem, zapisał cały majątek Grzegorzowi, za dożywotnią rentę i stałe zamieszkanie w dworze. Niestety następca nie okazał się dobrym gospodarzem. Majątek Marsów podupadał, ale najgorsze dopiero miało nadejść. W 1939 roku umiera żona Jadwiga. Wybucho II wojna światowa. Dwór w Starej Wsi daje schronienie dla wielu przedstawicieli rodziny

Marsów, szczególnie tych, którzy majątki posiadali na Kresach Wschodnich. W dworze ukrywa się wielu konspiracyjnych działaczy. Sam zaś Zygmunt Mars prowadził hodowlę długowłosych królików rasy angora, z których pozyskiwana sierść wykorzystywana była do wielu cennych wyrobów.

Po wojnie dwór i majątek zostały znacjonalizowane. Schorowany Zygmunt wysiedlony z dworu pozostał w Limanowej i zamieszkał w małym domku tuż obok dworu na tzw. „Spalenisku”. Opiekowały się nim bratanica Ewa Mars, córka Kazimierza oraz Róża Pikówka. Natomiast Grzegorz Mars wyjechał do Krakowa.

Zygmunt Mars zmarł w maju 1945 roku. Spoczął w kaplicy rodowej na cmentarzu parafialnym w Limanowej.

Tak zamyka się historia zasłużonego ziemiańskiego rodu Marsów. Rodzina ta przez prawie 100 lat wkładała wysiłek w rozwój naszego miasta i powiatu limanowskiego

Stanisław Ociepka
Fotografie archiwalne: Ze zbiorów
Krystyny Mars Gawlikowskiej
oraz albumów „Okruchy pamięci –
Limanowa na starej fotografii, arch.
„Echa Limanowskiego”

Kalendarz Azteków w Limanowej

Stanisław Ociepka

Każdy z nas ma własne upodobania i określone hobby.

Senior rodziny Mamaków ma pasję tworzenia rzeźb związanych z kulturą starożytną. Mieszka przy ulicy Leśnej pod Chłopską Górą, skąd roztacza się przepiękny widok na Beskid Wyspowy i Gorce, a w kotlinie widać Limanową z monumentalną bryłą bazyliki Matki Boskiej Bolesnej. O zmroku zaś wrażenie robi świecący potężny Krzyż na Chłopskiej Górze. Wydaje się, jakby znajdował się w pobliżu obserwatora.

Antoni całkowicie oddany swojemu hobby, najczęściej wykonuje rzeźby w betonie, które umieszcza w ogrodzie, wkomponowując je w naturę. Wszystko to tworzy niepowtarzalny nastrój. Dodam jeszcze, że w ogrodzie tym porośniętym roślinami i krzewami znajdują się oczka wodne, harmonizujące z całym otoczeniem, a w nich pływają ryby i słysząc rechot żab. Siedząc w altanie przy kominku można tu odpocząć na świeżym powietrzu i świetnie się zrelaksować.

W tym właśnie ogrodzie spotykali się twórcy limanowskiej kultury i zaproszeni goście w ramach tzw. limanowskich „Poetyckich Ogrodów”.

Sam właściciel ogrodu, Antoni Mamak, osoba wyjątkowo wrażliwa na piękno, jest autorem wielu wierszy, w których zawarty jest sens głęboko ukształtowanej hierarchii wartości. Czytelnikom „Echa” znany jest z wielu artykułów opisujących piękno najbliższego otoczenia i ukochanej Ziemi Limanowskiej.

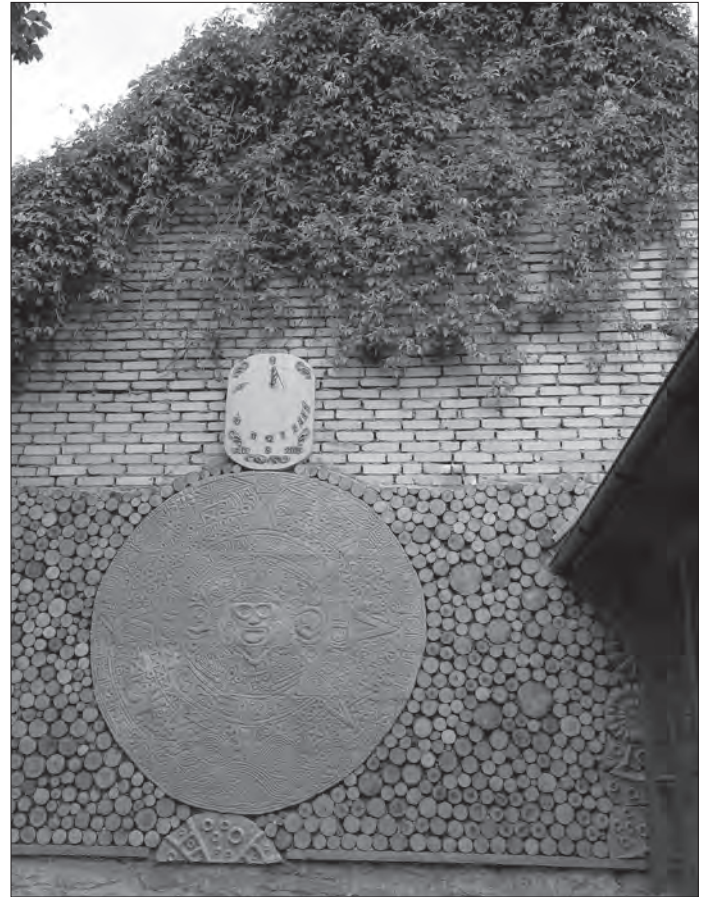
Dziś już leciwy, dzieli się wspomnieniami z przeszłości. Opisuje dawną Limanową, wracając pamięcią do wydarzeń, jakie miały tu miejsce oraz przypomina jak na przestrzeni 80 lat zmieniało się nasze miasto.

Ostatnio pracował nad rzeźbą przedstawiającą słoneczny kalendarz Azteków. Efektem tej pracy jest replika rzeźby osadzona na ścianie obok rodzinnego domu, przy dużej altanie, którą w roku ubiegłym gruntownie przebudował. Wszystko to znajduje się przed wejściem do wspomnianego ogrodu. W rezultacie betonowa rzeźba obudowana kilku centymetrowej grubości plastrami z drewna świerkowego o różnych średnicach, daje ciekawe oryginalne plastyczne rozwiązanie. Nad rzeźbą znajduje się zegar słoneczny.

Czym był kalendarz Azteków?

Stworzony został kilka tysięcy lat temu przez Azteków – naród indiański zamieszkujący dziś tereny Meksyku, którzy słynęli także z pól uprawnych i ogrodów.

Kalendarz ten dzielił rok na 365 dni 18 miesięcy po 20 dni oraz 5 dni dodatkowych. Każdy miesiąc w swojej nazwie zawierał aluzję do rolnictwa lub świata zwierząt, jako że pierwotna kultura Azteków była religią animistyczną i polegała na tym, że wierzący w nią mają w podświadomości to, iż zwierzęta, rośliny, zjawiska przyrody, a nawet martwe przedmioty są istotami duchowymi. Co ciekawe żaden miesiąc nie był pozbawiony makabrycznych ofiar z ludzi. Obecnie niektórzy koniec kalendarza azteckiego wiążą z zapowiedzią Armagedonu – czyli zagłady lub inaczej jest to symboliczne miejsce ostatecznej zguby wrogów Boga; także ostatecznej bitwy między siłami dobra i zła do tego prowadzącą.



Przy wejściu do ogrodu na ścianie z białej cegły znajduje się replika kalendarza Azteków wykonana przez Antoniego Mamaka.



Dwumetrowa, betonowa głowa wodza Inków.

Aby zrozumieć istotę kalendarza Azteków, należy przyjrzeć się bliżej ich kulturze.

Wracając do ogrodu przy ulicy Leśnej, muszę przyznać, że często tu bywam. Tutaj czuję się dobrze i świetnie odpoczywam. Dodam jeszcze, że jestem dobrym znajomym Antoniego, dlatego miałem możliwość obserwować, jak powstała rzeźba i jak zmieniał się wystrój otoczenia ogrodu. Uznałem, że warto to wszystko pokazać na łamach „Echa Limanowskiego”. Zwróciłem się więc do projektanta ogrodu i wykonawcy repliki rzeźby kalendarza, aby opowiedział o swoich poczynaniach.

- Szanowny przyjacielu, wyjaśnij proszę Czytelnikom naszego dwumiesięcznika, skąd zrodziło się u Ciebie zamiłowanie do kultury starożytnej.

- Powiedziałbym tak, jestem „dzieckiem natury”, urodziłem się w najpiękniejszym miejscu u stóp Chłopskiej i Łysej Góry pośród pól uprawnych, łąk i lasów, gdzie mogłem podpatrywać życie leśnej zwierzyny. Surowość mojego niezwykłego życia przenosiła mnie w wyobraźni do kultury starożytnej, o której dowiadywałem się z dostępnych mi książek.

Zamiłowanie do ogólnie pojętej sztuki tkwiło we mnie od zawsze, ale pochłonięty pracą zawodową nie mogłem w pełni realizować swoich zainteresowań. Dopiero po przejściu na emeryturę w pełni oddałem się tym młodzieńczym marzeniom, które od najmłodszych lat pozostawały w moim wnętrzu. Dopełnieniem tego były osobiste przeżycia. Wtedy zwykły ogród przekształciłem w ogród moich marzeń. W zieleni krzewów i drzew pragnąłem wprowadzić rzeźby. Wówczas powróciłem myślami do lat młodości, kiedy poznawałem tradycje Indian i będąc nimi zachwycony podjąłem próbę wykonania wielu rzeźb z tą kulturą związanych. Jaki jest tego rezultat, można zobaczyć w moim ogrodzie.

- Jakie wykonałeś elementy plastyczne związane z kulturą starożytną, które nadają ciekawy i oryginalny nastrój w Twoim ogrodzie?

- Pierwszym plastycznym elementem był potężny, kamienny głaz, na którym wyryłem datę założenia ogrodu. Kolejnym była dwumetrowa betonowa głowa wodza Inków, następnym bóstwo ofiarne naturalnej wielkości. W całym ogrodzie wyeksponowanych jest wiele kamiennych betonowych rzeźb związanych z architekturą japońską, m. in: kamienne lampy, świątynia, znajduje się tu także drewniany mostek przerzucony przez stawek wodny, altana na wzór japoński i tym podobne. Ostatnio poświęciłem czas na wykonanie betonowej rzeźby słonecznego kalendarza Azteków.

- Kiedy i jaką techniką wykonałeś ostatnie swoje „dzieło” – kalendarz Azteków- opowiedz o tym. Przedstaw również, jak przebiegały prace związane z ostatnim etapem montażu tej rzeźby na ścianie.

- Wzór kalendarza Azteków skopiowałem z ogólnie dostępnych źródeł - była to fotografia. Następnie obraz kalendarza został powiększony do naturalnej wielkości (średnica 2,2 metra). Całość podzielona została na 36 elementów. W odlanej płycie betonowej, która miała jeszcze konsystencję plastyczną przykładałem kolejne wzory i przystępowałem do rzeźbienia. Całość wykonałem w ciągu miesiąca w 2012 roku. Jednak rzeźby tej nie wyeksponowałem, bowiem nie miałem do końca przekonania o słuszności jej umieszczenia w ogrodzie, to po pierwsze, a po drugie, szczerze mówiąc, nie było dla niej miejsca.

Okazja nadarzyła się po wyburzeniu garażu i odsłonięciu altany usytuowanej przy wejściu do ogrodu, w której odbywały się spotkania w ramach limanowskich „Poetyckich Ogrodów”.



W altanie przy kominku.

Tłem dla kalendarza jest ściana z białej cegły, na której zwisa pnący się winobluszcz. Naroża ściany ozdobione są rzeźbą na wypalanej szamotce. Rzeźby te także nawiązują do kultury Indian. Całość wypełniona jest plasterkami z drewna świerkowego różnej średnicy, których jest około 800 sztuk. Powyżej rzeźby umieszczony został pionowy ścienny zegar słoneczny.

- W przeszłości (rzadziej obecnie) pisałeś wiersze oraz wiele wspomnień. Powiedz na ile klimat ogrodu, w którym prowadzimy rozmowę, miał wpływ na Twój nastrój.

- Ogród skomponowany od podstaw jest moją chlubą i satysfakcją, a także po części zrealizowaniem młodzieńczych pragnień. Tutaj odpoczywam wsłuchany w melodie dzwonów i pieśni maryjnych płynących od Krzyża. Tu rodzą się moje nowe pomysły, które później przenoszę na papier. A przede wszystkim spotykam się w tym ogrodzie z rodziną, znajomymi i przyjaciółmi. To z tego miejsca roztacza się piękna panorama na góry Beskidu i Górców. Siedząc w altanie, spoglądam w stronę gór, często powracam do wspomnień związanych z wędrowaniem po nich, a gdy skieruję wzrok w kierunku grzbietów Łysej i Chłopskiej Góry, to w moją stronę „patrzy” Krzyż Milenijny, który był zawsze w moim życiu przewodnikiem.

Reportaż fotograficzny na stronach 34-35

Nagroda Fundacji im. Władysława Orkana dla Zofii Wiśniewskiej

W bieżącym roku minęła 85. rocznica śmierci wielkiego pisarza Ziemi Limanowskiej Władysława Orkana i jego utalentowanej córki Zofii - poetki.

Wśród różnych form uczczenia tej rocznicy znaczącą rolę odgrywa Nagroda im. Władysława Orkana przyznawana osobom, które swą twórczość związały z regionem i starają się pracować dla niego tak, jak najlepiej potrafią.

Otrzymują ją działacze kultury, pisarze, publicyści, artyści - słowem ludzie, którzy podobnie jak Orkan potrafią i chcą dzielić się swym talentem z innymi, pragną pokazać piękno lub odtworzyć wydarzenia, które miały miejsce nawet w najmniejszym zakątku naszej polskiej ziemi.

Twórcami nagrody są: Jarosław Kalinowski, Stanisław Kolbusz, Tadeusz Skoczek i Czesław Siekierski.

Siedzibą Fundacji jest Warszawa. Od 2001 roku Instytut Władysława Orkana przyznaje systematycznie w każdym roku zasłużonym dla kultury ludziom nagrody.

Wnioski rozpatruje Kapituła, a wręczenie nagród odbywa się w coraz innym miejscu Polski.

W tym roku uroczystość uhonorowania laureatów odbyła się 13 czerwca w Muzeum Romantyzmu w Opinogórze powiat ciechanowski woj. mazowieckie. Organizatorami uroczystości były - Fundacja im. Władysława Orkana oraz Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Obok nagród dla zespołów, nagrody indywidualne otrzymali: Jerzy Hoffman - znany reżyser, Anna Ficoń - ludowa rzeźbiarka z Żywiecczyny, Janina Kęsek za książkę poświęconą bocheńskim patriotom walczącym w powstaniu listopadowym oraz Zofia Wiśniewska za zebranie i wydanie baśni, podań, legend związanych z Ziemią Bocheńską oraz publicystykę poświęconą Limanowej.

Zofia Wiśniewska, mimo iż od wielu lat mieszka w Bochni nie zapomniała o swych limanowskich „korzeniach”, o swej rodzinie, o ludziach oddanych tej pięknej choć trudnej ziemi, o wydarzeniach, które odchodzą w niepamięć, a warte są utrwalenia. Te sprawy i zagadnienia stały się tematem jej artykułów.

Zofia Wiśniewska (Wójtowicz) wywodzi się „po kądzieli” ze starej i znanej rodziny Podjabłonieckich Garwonów, która dobrze się zapisała w historii Ziemi Limanowskiej. To jej dziad - Jan Gawron długoletni wójt starowiejski, radny powiatowy, współorganizator Kas Stefczyka, pisarz - całe swoje życie pracował dla dobra prostych ludzi, podobnie jak jego syn Walenty, działacz i pisarz ludowy i drugi syn Wincenty - utalentowany malarz, witrażysta, rytownik i pisarz, więzień obozu oświęcimskiego, członek AK i powstaniec warszawski, który mimo tego iż musiał opuścić swój kraj ze względów politycznych, nigdy o nim nie zapomniał. Pracował na rzecz Polonii, a także Limanowej, która była zawsze dla niego najmilszym i najpiękniejszym skrawkiem umiłowanego kraju.



Zofia Wiśniewska (Wójtowicz)

Nic więc dziwnego, że Zofia wyniosła z domu kult dla swojej Małej Ojczyzny, w której się urodziła, ukończyła szkołę podstawową i średnią i była świadkiem wielu wydarzeń, które zapadły jej na zawsze w pamięci.

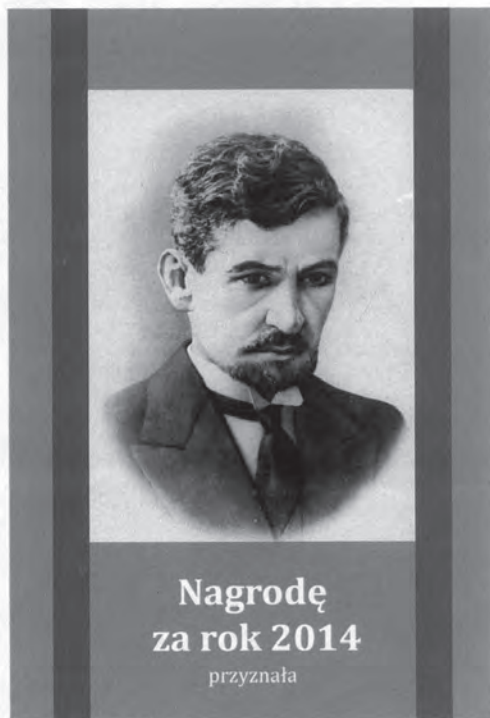
Los tak chciał, że po studiach i zawarciu małżeństwa znalazła swe miejsce w Bochni, ale żywo interesowała się Limanową, często ją odwiedzała i cieszyła z jej osiągnięć. Wysokiej klasy pedagog - polonista swe umiejętności podnosiła na studiach podyplomowych kolejno z metodyki, językoznawstwa i etnografii.

Swe przemyślenia metodyczne zamieszczała w odczytach pedagogicznych drukowanych w czasopismach przedmiotowych. Wiele lat poświęciła na zebranie baśni, podań, legend Ziemi Bocheńskiej. W ich poszukiwaniu przemierzyła cały powiat bocheński. Będąc już na emeryturze, wydała na własny koszt 19 zbiorów. Weszły w skład „lektur do wyboru” ►

Kapituła

Nagrody im. Władysława Orkana


przyznawanej corocznie za wybitne osiągnięcia
w dziedzinie upowszechniania kultury i twórczości artystycznej



Prezes
Fundacji im.
Władysława Orkana

Natalia
Roszkowska
Natalia Roszkowska

Przewodniczący
Kapituły Nagrody
im. Władysława Orkana


płk rez.
Stanisław Dąbrowski

Zofii Wiśniewskiej

– pisarce i pedagogowi, pochodzącej z Ziemi Limanowskiej –

za wszechstronną działalność edukacyjną, utrwalanie legend ludowych, twórczość dla dzieci oraz publicystykę przypominającą martyrologię mieszkańców wsi polskiej podczas niemieckiej okupacji

► i służą nauczycielom do realizacji tzw. „ścieżki regionalnej”. Odbyla dziesiątki spotkań z młodzieżą, by jej przybliżyć baśniowy świat.

W podziękowaniu za tę działalność Dziecięca Kapituła uhonorowała jej starania Orderem Błękitnej Niezapominajki przyznawanym osobom pracującym społecznie na rzecz dzieci.

Nie zapominając o miejscu urodzenia, związana emocjonalnie z Limanową, podjęła współpracę z „Echem Limanowskim”. Od kilkunastu lat publikuje w nim artykuły. Wiele z nich poświęciła sylwetkom zasłużonych nauczycieli, którzy z całym oddaniem pracowali nad przekazaniem wiedzy i ukształtowaniem charakterów tych, którzy w przyszłości mieli tworzyć „nowy ład”. To dzięki niej mieszkańcy limanowskiego

grodu, ci w, „słusznym wieku” mogli przypomnieć sobie, a młodzi dowiedzieć się o pedagogach, którym los młodzieży leżał tak bardzo na sercu, że nie wahali się narażać życia, by pracując w tajnym nauczaniu przygotować ją do dalszej nauki.

Jej artykuły zawierają także wspomnienia o pedagogach, otwierających historię średniego szkolnictwa ogólnokształcącego obchodzącego w tym roku 70. rocznicę istnienia.

Warto sięgnąć do archiwalnych numerów „Echa”, by odświeżyć pamięć o tamtych trudnych początkach, o ludziach oddanych młodym, którym umożliwili realizację celów i ambicji, a także dowiedzieć się czegoś więcej o samej młodzieży. Jej odczucia, przeżycia i ocenę ówczesnej szkolnej rzeczywistości z humorystycznym

przymrużeniem oka można poznać, czytając wspomnienia z wyboru z „Naszych wspólnych lat 1945 - 1951” pisane właściwie na koleżeńskie spotkania, a potem udostępnione Redakcji.

Godne podkreślenia są również artykuły ukazujące losy wybitnych uczniów tegoż Liceum noszącego imię Wielkiego Rodaka, którzy zaznaczyli swój ślad w różnych dziedzinach życia nie tylko w naszym kraju, lecz poza jego granicami (Kanada, USA, Syberia, Południowa Ameryka, kraje Afryki).

Okupacyjne przeżycia mieszkańców i własnej rodziny znalazły odbicie w „Obrazkach z tamtych lat”.

Pani Zofia przybliżyła również czytelnikom naszego dwumiesięcznika ciekawe wiadomości dotyczące życia swego wuja Wincentego „Za Oceanem” uważając, że uczynił tam wiele, by pokazać swe przywiązanie do Macierzy. To dla niej założył prywatne Muzeum Militariów noszące imię Marszałka Józefa Piłsudskiego, to Polonusom przybywającym za Ocean pomagał przetrwać najtrudniejsze chwile, to Polakom pomagał organizować obchody świąt państwowych takich jak 3 Maja, wykonując potrzebne do pochodów dekoracje czy też projektując jasełkowe kostiumy.

Doceniając wkład Zofii Wiśniewskiej w utrwalanie wiedzy o ważnych wydarzeniach mających miejsce w przeszłości, przypomnienie osób, które wniosły trwałe wkład do historii i kultury naszego grodu, za wspieranie jego zaszczytnych planów i zamierzeń Rada Miasta nadała Jej w 2013 r. tytuł i medal „Przyjaciel Miasta Limanowa”.

Redakcja „Echa Limanowskiego” serdecznie gratuluje p. Zofii Wiśniewskiej przyznanej Jej w obecnym roku Nagrody im. Władysława Orkana oraz życzy zdrowia, nowych pomysłów i dalszej współpracy z naszym czasopiśmie.

Stanisław Ociepka

Z archiwum Jana Wielka

Jan Wielek, historyk – regionalista, muzealnik, wieloletni dyrygent Chóru Męskiego przy Bazylice Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej, działacz turystyczny, a przede wszystkim autor niezliczonej ilości artykułów prezentowanych w prasie ogólnopolskiej i regionalnej, odszedł do wieczności w maju br.

Aby przedłużyć pamięć o człowieku wielu talentów, bez reszty zaangażowanemu w promowanie limanowskiej kultury, redakcja „Echa Limanowskiego” postanowiła na łamach swego pisma opublikować cykl artykułów pod jednym tytułem: „Z archiwum Jana Wielka”, w którym będziemy przedstawiać pozostawione przez Niego artykuły, a także wybrane fragmenty z przygotowanych do druku książek: „Historia o Starej Wsi” oraz „Szkice z dziejów wsi i okolic Łososiny Górnej”. Cykl ten rozpoczynamy II rozdziałem z tej publikacji zatytułowanym „Dwory i dworki”.

Dwory i dworki

Dwory i dworki - nieodłączny i malowniczy element XIX-wiecznej, polskiej wsi. Te pierwsze bogato uposażone w ziemię uprawną i lasy, górowały swą wielkością i znaczeniem nad tymi drugimi. Ich właściciele, skoligaceni najczęściej ze znanymi, herbowymi rodami szlacheckimi, cieszyli się szacunkiem, piastując najważniejsze, honorowe najczęściej urzędy. Ci drudzy żyli jakby w ich cieniu, nie będąc jednak uważani za gorszych.

Do połowy XIX w. podstawą utrzymania dworów, oprócz odpowiedniego areału ziemi, była bezpłatna pańszczyzna, odbierana na dworskich polach przez przypisane do nich gospodarstwa chłopskie. Ten feudalny system społeczno - gospodarczy tolerowany przez zaborcze władze austriackie trwał daleko dłużej niż w innych prowincjach cesarstwa. Dwory w zamian odpłacały się państwu pełnieniem roli najniższego szczebla administracji państwowej - zwłaszcza obowiązkiem ściągania podatków, dostawy rekruta, wykonywaniem władzy sądowniczej w sprawach cywilnych.



Jan Wielek (1949-2015)

Ten utarty, wielowiekowy porządek społeczno gospodarczy przerwała, częściowo wymuszona przez „rabację chłopską” z 1846 r., reforma uwłaszczeniowa, przeprowadzona w 1848 r. Dwory pozbawione zostały darmowej pańszczyzny i innych przywilejów, zwolnione zaś zostały z obowiązków administrcyjno- sądowniczych, pełnionych dotąd w imieniu państwa. ►



Łososina Górna. Z lewej nieistniejący dwór.



Dwór w Łososinie. Poczłtówka ze zbiorów Jacka Drożdżaka.

► To drugie zaowocowało powołaniem tzw. „Bezirków”, czyli powiatów sądowych - siedziba takiego ustanowiona została w Limanowej, co później w 1876 r. dało podstawę do powstania tu ośrodka powiatu samorządowego.

Reforma uwłaszczeniowa była początkiem wielkich przemian gospodarczo - społecznych na wsi galicyjskiej. O ile duże dwory, mocniejsze gospodarczo przetrwały, częściowo przedstawiając się na inne niż rolnictwo typy gospodarki (hodowla bydła, drobny przemysł), to dworki małe, słabe gospodarczo, zaczęły upadać i ulegać parcelacji. Ziemie najczęściej wykupywali chłopci Żydzi, handlując nią później, rzadziej okoliczni bogaci chłopci. Rozbierano malownicze, wiekowe nieraz i zabytkowe dworki oraz budynki gospodarcze. Scenariusz taki obowiązywał również w Łososinie Górnej i okolicach.

W granicach obszernej, historycznej parafii łososińskiej istniało 8 dworów: w Łososinie, Koszarach, Walowej Górze, Piekiełku, Makowicy, Młynnym Wyżnym, Młynnym Słomianej i Laskowej.

Folwark, a zapewne i dwór w Łososinie powstał w drugiej połowie XV w. (pierwsza wzmianka z 1470 r.) wielokrotnie, podobnie jak i sama wieś, zmieniał swych właścicieli. Wielokrotnie też zapewne był przebudowywany. W początkach XIX stulecia wzniesiono nowy dwór; był to budynek drewniany, konstrukcji zrębowej, parterowy. Wnętrze dwutraktowe, z jednym skrzydłem od tyłu (później w okresie międzywojennym dobudowano od strony wschodniej drugie skrzydło). Dach czterospadowy, o połaciach lekko wklęsłych. Od zjazdu ganek na czterech kolumnach, z daszkiem dwuspadowym i szczytem. Budynek ten przetrwał prawie dwa wieki, pełniąc później różne funkcje; spłonął w 1980 r.

W drugiej połowie XIX w. właścicielem dworu łososińskiego (wraz z folwarkiem Kisielówka) był Marceli Pieniążek, ożeniony z Julią z Wielogłowskich. W pamięci limanowskiego pamiętnikarza - Jana Sitowskiego - zapisał się jako posiadacz potężnego pucharu, w którym mieściły się dwie butelki wina - jedna w środku, a druga na przykrywce. Goście zajeżdżający na imieniny państwa Pieniążków, musieli duszkiem wypić jego zawartość na ich zdrowie; to samo obowiązywało na odjeździe (tzw. „strzezienny”). Kronikarz dodaje, iż koło dworu był duży staw, w którym hodowano dorodne karpie. Pani Julia Pieniążkowa była kobietą bardzo pobożną; ona to wyjednała u władz kościelnych zgodę na tradycyjne już dzisiaj odpusty w łososińskim kościele, wypadające 15 sierpnia (święto Matki Boskiej Zielnej). Podejmowała wtedy w dworze licznie przybywających księży i okoliczną szlachtę (po jej śmierci obowiązek ten spadł na barki proboszcza - ks. Macieja Browarnego).

Dworek i majątek w Koszarach wraz z folwarkiem Bałazówka (łącznie ok. 500 morgów ziemi i 200 morgów lasu) należał do Konstantego Pieniążka. Ten - jak wspomina w swych pamiętnikach dziedzic starowiejski - Józef Mars - pożyczył od Floriana Pieniążka znaczną kwotę 15 tys. reńskich, dając w zastaw cały majątek. W umowie zaznaczono, że gdyby należności nie spłacił w terminie, Koszary przechodzą na wieczystą własność wypożyczającego. Długu nie spłacił i właścicielem Koszar stał się Florian Pieniążek.

Po jego śmierci Koszary wraz z Bałazówką przeszły na własność wspomnianej już wyżej Julii Pieniążkowej, wdowy po Marcelim. A gdy i ta zmarła, dziedzicem Łososiny i Koszar stał się jej syn - Jan. Ten, bezdzietny, przystąpił do parcelacji obu majątków. Pozostała, niewielką resztówkę (18 morgów),

z kawałkiem lasu i budynkiem dworu w Łososinie, na początku XX w. zakupiła Rada Powiatowa w Limanowej, z przeznaczeniem na sierociniec (ostatecznie powstała tu Górską Szkoła Rolnicza - o czym później).

Od 1842 r. właścicielem dworu w Makowicy byli Kajetan i Cecylia z Głębockich Sucharkiewiczowie, którzy kupili go od Wiktorii z Grotowskich Dzieciołowskiej. Majątek ten przeszedł prawem dziedzictwa na dzieci: Florianę, Emilię, Domicelę, Hilarego, Marię i Jana. Później dworek ten i majątek kupiło Towarzystwo Własności Ziemskiej w Limanowej i został rozparcelowany.

Rozparcelowany został również majątek dworski w Piekielku. W pierwszej połowie XIX w. był własnością Józefa Dunikowskiego, który w 1826 r. odsprzedał go Antoniemu Dunikowskiemu, ożenionemu z Udronską. Gdy ten owdowiał, w 1865 r. majątek ten odkupiła od niego córka - Maria z Dunikowskich Germanowa, żona Karola Germana, wiceprezesa koła Polskiego w Wiedniu. Zięć Germanów sprzedał Piekielko Żydom, a ci później rozparcelowali go wśród chłopów.

Ostatnimi właścicielami dworu w Rupniowie byli: Antoni Maisner, później jego syn Feliks Maisner, ożeniony z córką znakomitego polskiego malarza Jacka Malczewskiego. Oczywiście i ten majątek został rozparcelowany.

Dwór w Walowej Górze, własność Antoniny Puzikowskiej, spłonął. Po śmierci dziedziczki majątek przeszedł na własność Ludwika Biliziskiego, ożenionego z Sabiną Pieniążkówną, właściciela dworu Młynne Wyżne. Po ich śmierci majątek został podzielony na równe części (1868r.) pomiędzy dzieci: Stanisława, Bolesława, Józefa, Julię (po mężu Dulębowa), Magdalenę (po mężu Gawłowa), Edwarda i Sylwestrę (po

mężu Chwalibogową). W dworku Młynne Wyżne, bywał jeszcze limanowski pamiętnikarz Jan Sitowski ze swym ojcem. Później majątek został rozparcelowany.

Szczególne miejsce wśród dworków historycznej parafii łososińskiej, zajmował dwór w Młynnym - Słomianej. W początkach XIX w. jego właścicielem był Teodor de Friedensfeld Laskiewicz, ożeniony z Rozalią z Dzieciołowskich Głębocką, wdową po Michale Głębockim. Po śmierci Laskiewicza, w 1851 r. dziedziczką majątku „Słomiana”, stała się jego córka Maria z Laksiwiczów Żelichowska, której drugim mężem został Juliusz Szeliga-Żuławski (1814 - 1858). Grób jego znajduje się na cmentarzu parafialnym w Łososinie Górnej. Urodziło się im czworo dzieci: najstarszym był Kazimierz, który ożenił się z Józefą Goławską - z Bienkowic. Jej stryjem był Maurycy Oksza Gosłowski z Podola (1802 - 1834). Poeta, autor wielu historycznych, popularnych wówczas pieśni - m.in. „Gdybym orłem był...”. Młodsza - Wanda, wyszła za mąż za Narcyza Fiezięckiego, obywatela Królestwa Polskiego. Stanisławę poślubił Jakub Króliński z Bigoszówki k. Wieliczki, z najmłodszą Lubiną ożenił się baron Nicefor Lenk - Suczyński z Bosków k. Niska.

Po śmierci Juliusza na „Słomianej” gospodarowała wdowa po nim - Maria Żuławska (zmarła 1898 r.), która - jak wspomina cytowany tu już Jan Sitowski - była osobą bardzo gościnną a „mając córki na wydaniu, urządziła w czasie karnawału we dworku swoim zabawy, na które okoliczna szlachta zjeżdżała; nie brakowało na nich Seweryna Głębockiego z Mordarki i Edwarda Żuławskiego z najstarszą córką p. Jadwigą - później żoną Michałowską z Laskowy”. Bale trwały do białego rana, do tańca przygrywała doskonała kapela Domitrów z Łososiny Górnej.



Dworek w Koszarach - 1948 rok. Fot. arch. Krystyny Długosz.

W 1888 r. dziedzicem „Słomianej” został Kazimierz Żuławski. Majątek obejmował ok. 300 morgów pól uprawnych i lasów. Dworek był drewniany, miał tylko cztery pokoje, widać, iż był to budynek leciwy, skoro w środku podierały go cztery drewniane słupy. Drewniane były również budynki gospodarskie, wyjątek stanowił murowany spichlerz. Ozdobą otoczenia był wspaniały świerk, który mierzył ok. 20 metrów wysokości.

Kazimierz Żuławski miał w okolicy opinię wielkiego patrioty i dobrego gospodarza. Pisał o nim pamiętnikarz Sitowski: „Kazimierz (...) technik krakowski był wzorowym tegim i rzadkim gospodarzem, nie wstydził się imać w ręce pług Fröhlichowski, ażeby lemieszem kroić ojczyste zagony, swą zapobiegliwością i energią gospodarczą wzbudzał podziw u sąsiadów, mimo oszczędności posuniętej do ostatnich granic, nie mógł utrzymać się na „Słomianej” i nie dziwne, wszak trzeba było spłacić rodzeństwo, sprawić wyprawy ślubne i weselne siostronom, a co najważniejsze kształcić sześciu synów i starannie ich wychowywać. Cała okolica podziwiała pana Kazimierza, że przy takich warunkach potrafił to skutecznie”.

Gospodarność, oszczędność i pracowitość jednak nie pomogły. By kształcić dzieci, pan Kazimierz po kawałku zaczął rozprzedawać majątek. Pozostałą resztówkę wraz z dworkiem kupiło pięciu miejscowych gospodarzy: Walenty Lipień, Wojciech Duda, Jan Chrobak, Michał i Józef Lipieniowie. „Można sobie wyobrazić- pisze Sitowski - co się działo w sercu p. Kazimierza Żuławskiego, tego patrioty, obywatela i troskliwego ojca tylu dzieci, gdy się przekonał, że nie zdoła dzieciom zostawić tej ukochanej „Słomianej”, w której się urodził, wyrósł, wychował, tyle przeżył chwil wesołych, tej ziemi, którą własnymi rękami uprawiał”.



Jerzy Żuławski.

Wnet rozebrano budynki gospodarskie, jedną połowę dworu, później drugą. Na „Słomianej” wyrosły zabudowania sześciu nowych gospodarstw chłopskich.

Zainwestowane przez pana Kazimierza Żuławskiego pieniądze na wykształcenie dzieci przyniosły trzykrotne efekty. Zasłynął zwłaszcza najstarszy syn - Jerzy (urodzony w 1874 r. w Lipowcu k. Ropczyc), który po ukończeniu nauki w szkołach średnich w Bochni, Krakowie i studiach politechnicznych z Zurychu oraz filozoficznych w Bernie, gdzie uzyskał doktorat w 1898 r. na podstawie rozprawy „Problem przyczynowości u Spinozy” i astronomicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, niebawem okazać się miał znakomitym poetą, dramaturgiem i powieściopisarzem, który jak to określił profesor Julian Krzyżanowski w książce „Neoromantyzm polski” - „dzięki łatwości pióra w ciągu dwudziestu lat rzucił na rynek księgarski trzydzieści tomów dzieł najrozmaitszych”.

W Młynnym Jerzy Żuławski spędzał swe dzieciństwo, zaś jako młodzieniec każde wakacje. Rodzinne strony, dworek „Słomiana” i najbliższe otoczenie będzie tematem wielu jego opowiadań („Modlitwa” - 1895 r., „Z domu rodzinnego” - 1897 r.) i wierszy. Przytoczmy tylko dwa krótkie utwory - jeden z nich nosi tytuł „Dworek”:

*W pięknej dolinie górskim przerznętej ruczajem
otoczone lipami świecą dworku ściany,
patrząc oknem na góry, na lasy, na lany...
ach! stamtąd świat mi niegdyś wydał się rajem!*

*Ach! tam wszystkich kochałem, kochany nawzajem,
tam mnie matka uczyła czcić Pana nad Pany,
ojciec miłość ojczyzny w umysł kładł wiośniany-
a ja modlił się Bogu i płakał nad krajem.*

*Kiedym, szczęsny, dziecinną do snu składał głowę,
nad kołyską pacierze szemrała mi rzeka,
dumy lasy mi szumem śpiewały jodłowe.*

*Wierzyłem, że mnie chowa górska bóstw opieka
i że życie będzie wiecznie tak tęczone,
a dziś...Dworek się chyli i szczęście ucieka...*

Wzruszający jest opis starego dworskiego młyna stojącego nad rzeką Łososiną, od wielu pokoleń pracowicie rozcierającego zboże na mąkę:

*Młyn stary - nocne odmawia pacierze;
drewniane ręce podnosząc ku górze,
wodę garściami w dłonie z desek bierze,
a potem w krople rozmawiają chmurze
a czoło kryje w to białe opierze,
i że mu łoży obrośły podnóże,
więc go nie widać zza wód i zieleni,
huk tylko słychać i kół i kamieni.*

Z siedmiu dworków, które istniały na terenie historycznej parafii łososińskiej do naszych czasów „fizycznie” ostał się tylko dworek w Laskowej. Do 1846 r. był własnością Aleksandra Skrzyńskiego, później przeszedł na własność Konrada Żochowskiego, ożenionego z Marią Niewiadomską z Młynnego. Jedną z ich córek - Jadwigę wyszła za mąż za Michałowskiego i oni odziedziczyli majątek Laskowa. Michałowscy dotrwali tu do czasów po II wojnie światowej, kiedy to majątek rozparcelowały władze komunistyczne. Dworek pełnił później różne funkcje - mieściło się tu m.in. schronisko turystyczne, przedszkole, dom kultury. W latach 70-tych ubiegłego wieku przeszedł gruntowny remont konserwatorski. Zabudowania gospodarskie przejęła Gminna Spółdzielnia na cele handlowe, w zabytkowym parku umieszczono młodzieżowy ośrodek wypoczynkowy. Zmiany, które zaszły w Polsce w ostatnich latach pozwoliły rodzinie Michałowskich na odzyskanie ich rodowej siedziby.

Jan Wielek

„Deszcz nagród”

dla limanowskiej Państwowej Szkoły Muzycznej

We wrześniu br. sale przy ul. Kościuszki znów wypełni muzyka. W nowym roku szkolnym naukę w murach Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia im. Grażyny Bacewicz rozpocznie 29 uczniów w cyklu sześcioklasowym oraz 23 uczniów w szkole młodzieżowej (cykl czteroletni). Życząc sukcesów uczniom i nauczycielom warto przypomnieć osiągnięcia w ubiegłym roku szkolnym. W dziewiętnastu konkursach o charakterze ogólnopolskim, międzynarodowym czy regionalnym nagrody i wyróżnienia uzyskało 41 uczniów(!). O osiągnięciach szkoły mówił dyrektor Wincenty Curzydło podczas koncertu podsumowującego rok szkolny 2014/15 w LDK w dn. 14 czerwca br, będącego uwieńczeniem całorocznej pracy. Wypowiedź zakończył słowami: „*Na przestrzeni 45 lat istnienia, Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia w Limanowej może poszczycić się bogatą tradycją artystyczną. Nasi liczni absolwenci występują na scenach krajowych i zagranicznych. Mamy nadzieję, że tegoroczni laureaci, pracujący pod kierunkiem wybitnych pedagogów, poszerzą grono wspianiałych artystów, którzy będą rozślawiać nasze miasto w kraju i za granicą.*”

Tegoroczne sukcesy przypieczętowała **Aleksandra Baczyńska**, która zdobyła I miejsce w prestiżowym VII Ogólnopolskim Konkursie Skrzypcowym „Mistrz literatury dziecięcej O. Rieding” w Warszawie. Jest ona także laureatką I nagrody XXII Muzycznych Prezentacji Młodych Skrzypków w Bystrzycy Kłodzkiej. Również **Dominika Sławek** dwukrotnie zajęła I miejsce: w Ogólnopolskim Konkursie „Mały czy duży wirtuoz” w Warszawie i w V Olkuskim Festiwalu Skrzypcowym. Jest ona także laureatką II nagrody XIV Ogólnopolskich Prezentacji Muzycznych w Sieradzu.

Karolina Zelek i Michał Sukiennik w duecie zdobyli I miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Pianistycznym „Wiosna z fortepianem” w Sosnowcu, II miejsce w II Ogólnopolskim Konkursie Zespołów Kameralnych Szkół Muzycznych „Muzykowanie w Trzcianie” oraz wyróżnienie w XV Międzynarodowym Konkursie Muzycznym w Łomiankach.



Karolina Zelek dodatkowo zajęła II miejsce z wyróżnieniem specjalnym w XVIII Małopolskim Konkursie Pianistycznym w Tuchowie.

Paweł Michalik zajął II miejsce podczas VII Wiosennych Spotkań Pianistycznych w Dębicy oraz w duecie z **Małgorzatą Lach** dwukrotnie III miejsce: w konkursach „Młody Kameralista” w Starachowicach i „Muzykowanie w Trzcianie”.

Duet fortepianowy **Anna Kądziołka i Zuzanna Kuziel** zdobył I miejsce w Starachowicach, II miejsce w Trzcianie i III miejsce w Myślenicach w IV Ogólnopolskim Konkursie Pianistycznym „Mały Pianista”. Duet fortepianowy **Dorota Poreba i Natalia Trzupek** zdobył II nagrodę w Starachowicach.

Miłosz Trzópek zajął III miejsce w Trzcianie. Również **Filip Kaciczak** zajął III miejsce w I Międzyszkolnym Konkursie Perkusyjnym „Laboratorium rytmu” w Brzesku. Zespół instrumentalny w składzie: **Martyna Frys oraz Jan Rosiek i Patrycja Michura** zajął III miejsce w Trzcianie.

Kinga Raczek i Piotr Cygal zajęli II miejsce w Konkursie „Muzykowanie w Trzcianie” oraz wyróżnienia w Starachowicach.

Wyróżnienia w konkursach otrzymali:

Zuzanna Matąg (skrzypce), Katarzyna Puch (wiolonczela), Maciej Śmierciak i Albert Juszcak (perkusja), duet fortepianowy Otylia Kwiatkowska i Marta Majerska, duet gitarowy Marzena Florek i Karol Wikar, zespół instrumentalny w składzie: Martyna Wiktor, Natalia Szewczyk i Kinga Skopowska, zespół

akordeonowy w składzie: Filip Papiież, Krystian Dębski, Paulina Rokosz, Marek Zelek, Karol Pytel (fortepian).

Weronika Guzik zakwalifikowała się do II etapu międzynarodowego konkursu w Wieliczce.

Podczas IV Konkursu Muzyczno – Literackiego w zakresie Gry A Vista i Czytania Prozy i Poezji oraz Śpiewu Solowego w Trzcianie czołowe miejsca zajęli: **Szymon Lis i Marcin Tomaszek, Karolina Zelek i Faustyna Mamak, Magdalena Kociołek i Katarzyna Michalik oraz Iza Twaróg.**

Sukcesy uczniów są efektem pracy wspianiałych pedagogów. Laureatów konkursów przygotowali nauczyciele: Sławomir Szymocha (skrzypce), Halina Dyczek (fortepian), Barbara Niezabitowska (fortepian), Barbara Knapczyk (fortepian), Iwona Śliwa (wiolonczela), Renata Czaja (fortepian), Elżbieta Szymocha (fortepian), Paweł Janczy (akordeon), Paweł Moszycki (gitar), Justyna Trzópek (flet), Edyta Lachor-Mitkowska (fortepian), Ryszard Rechulicz (perkusja), Mateusz Gurgul (akordeon), Renata Biernat (skrzypce), Ireneusz Fołta (gitar).

Redakcja „Echa Limanowskiego” gratuluje sukcesów i życzy wielu osiągnięć w nowym roku szkolnym.

Artykuł powstał na podstawie materiałów przygotowanych przez p. **Teresę Staśko** i p. **Teresę Szewczyk** z PSM w Limanowej.
Fotografia: Paweł Moszycki.

Dług wdzięczności

- pamięci lek. med. Jerzego Dziedzica

Jacenty Musiał

28 czerwca br. w Limanowej, w wieku 78 lat, zmarł lek. med. Jerzy Dziedzic – długoletni dyrektor Szpitala Powiatowego w Limanowej, Ordynator Ośrodka Leczenia Oparzeń, niezmiernie zasłużony lekarz, któremu wiele osób zawdzięcza uratowanie życia. Był drugim dyrektorem nowo wybudowanego w 1977 r. szpitala ZOZ, po doktorze Zbigniewie Markowskim.

Zbigniew Religa, wybitny polski profesor, kardiochirurg mówił: „lekarz, który dostaje dyplom, decydując się wykonywać ten zawód, musi podporządkować całe swoje życie ratowaniu życia innych ludzi”. To powołanie znakomicie wypełniał w swojej pracy zawodowej Jerzy Dziedzic. Dar służenia sobą, swoim czasem, wiedzą, doświadczeniem i całym sercem uwrażliwionym na cierpienia innych realizował czynnie zarówno w pracy, jak i będąc na emeryturze. Nie sposób wymienić wszystkich, którym uratował życie i ulżył w cierpieniu. Ci, którym pomógł swoją wiedzą, talentem lekarskim i doświadczeniem, mają wobec niego ogromny dług wdzięczności. Do grona tych osób należą również ja, gdyż w 1987 roku uległem ciężkiemu oparzeniu termicznemu i przez kilka miesięcy byłem pacjentem nowo powstałego Ośrodka Leczenia Oparzeń, którego Jerzy Dziedzic był Ordynatorem. Dzięki jego ogromnej wiedzy, doświadczeniu i wrażliwości moje życie zostało uratowane.



W gronie rodzinnym. Od prawej: Jerzy Dziedzic, jego syn oraz żona i matka.

Jerzy Dziedzic urodził się 19 kwietnia 1937 roku na Kresach w Borszczowie koło Terespoła, jako syn Karoliny z Gondurskich i Stanisława Dziedzica. Pochodził ze znanych wschodnich rodów: Strykowski i Mościckich. Jego ojciec Stanisław był absolwentem Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Piastował wiele funkcji, m. in. był starostą i sekretarzem powiatu w Borszczowie. Wychowany w duchu patriotycznym w rodzinnym

domu, był oficerem Korpusu Pogranicza. Za działalność patriotyczną został wywieziony na Syberię, gdzie przebywał na zesłaniu kilka lat.

W 1942 roku został wywieziony z matką w głąb Syberii, pod Ural. Jako 5-letnie dziecko wspólnie z 12-letnim kolegą udało im się uciec z wagonu przez dziurę w podłodze. Często wspominał, jak jego mama pouczała go w chwili ucieczki, że chcąc dotrzeć bezpiecznie do Polski, musi kierować się w przeciwnym kierunku,

niż pociąg, z którego udało im się uciec. Przez półtora roku szli, nie bacząc na porę roku i bardzo ciężkie warunki atmosferyczne, śpiąc niejednokrotnie w lasach, stodołach, szopach, a nawet psich budach, aby ogrzać się i schronić przed zimnem. Żywili się zamarzniętymi kartoflami, cebulą, czosnkiem, karpielami. Ileż siły ducha, zapału i woli życia musieli wykazać, aby przejść ponad 9 tys. km do Lwowa, gdzie odszukawszy swoją ciotkę Strykowską otrzymali pomoc i dach nad głową. Gdyby ktoś spisał tę wędrówkę, powstałaby niesamowita publikacja książkowa czy film. Pod koniec II wojny światowej Jerzy przemycony zostaje do Krakowa w beczce po benzynie. Tam, po 4 latach tułaczki, odnajduje swoich rodziców i rozpoczyna nowe życie. W latach 1945-1946 zaczął chodzić do I kl. Szkoły Podstawowej w Krakowie. Ówczesni nauczyciele, widząc w nim ogromne zdolności, po pół roku czasu przenieśli go do IV kl. tej szkoły. Do Gimnazjum Nowodworskiego uczęszczał również w Krakowie, gdzie z powodzeniem zdał maturę. Już wówczas interesował się Zakonem Kawalerów Maltańskich, którego został członkiem. Lata doświadczeń i tułaczki uwrażliwiły go na potrzeby innych, dlatego od najmłodszych lat młody Jerzy pragnął pomagać ludziom, marząc o zawodzie lekarza. Był konsekwentny w realizowaniu wyznaczonego celu i w roku 1961 ukończył studia na Akademii Medycznej w Krakowie. Po studiach zaczął pracować w Szpitalu Powiatowym w Bochni, Obwodowej Przychodni Przemysłowej w Nowej Hucie i w Stacji Sanitarnej – Epidemiologicznej. Był również kierownikiem Nowohuckiego Wydziału Zdrowia. Pracując na Oddziale Chirurgii Dziecięcej Szpitala Dziecięcego im. Stefana Żeromskiego w Krakowie, uzyskał II stopień specjalizacji. Jako młody lekarz spotykał się wówczas z nowymi technikami leczenia, m. in. z przeszczepami, praktykując w najlepszych klinikach w Warszawie, Poznaniu czy Wrocławiu. Bardzo kochał góry i często wybierał się na piesze wyprawy jeszcze jako student. W 1963 roku po raz pierwszy odwiedził

Limanową, wracając z pogrzeb, kolegi z Grybowa. Był wówczas w wojsku w słynnych Czerwonych Beretach. Zauroczyły go nie tylko limanowskie krajobrazy i rynek, lecz także gościnność Michała Wrony, który prowadził znaną restaurację. Sam wielokrotnie wspominał, że z sentymentem powracał do Limanowej, a jak pisze Elżbieta Wojtas – Ciborska w „Księżdzie limanowian”, miał duży wpływ na lokalizację nowego szpitala w Limanowej. W 1978 r. wygrał konkurs na Dyrektora Opieki Zdrowotnej w Limanowej i od 1 sierpnia został powołany na dyrektora. Funkcję tę pełnił do 6 czerwca 1991 r. Nie trzeba nikogo przekonywać, że był to bardzo trudny okres, bo limanowski szpital funkcjonował dopiero od roku. Brakowało lekarzy, specjalistów, sprzętu, wyposażenia i środków finansowych. Sam budynek miał wiele funkcjonalnych niedogodności. Dzięki swoim licznym kontaktom dr Jerzy sprowadził do Limanowej wielu znanych lekarzy z Krakowa, podnosząc tym samym w znaczny sposób rangę i prestiż tej placówki. Jednym z nich był lek. med. Wojciech Kostia, obecnie Ordynator Oddziału Urazowo – Ortopedycznego, który tak wspomina dr. Jerzego: „Dr. Jerzego Dziedzica poznałem w 1973 roku, gdy rozpocząłem pracę w Szpitalu im. Żeromskiego w Nowej Hucie. Dr Jerzy Dziedzic był wówczas asystentem Oddziału Chirurgii Dziecięcej, a ja rozpocząłem specjalizację w sąsiednim Oddziale Chirurgii Urazowej. Obydwaj w tym czasie zdobywaliśmy doświadczenie i realizowaliśmy program specjalizacji w zakresie chirurgii. Poza wspólnymi dyżurami łączyło nas zamiłowanie do sportu, a dr Jerzy Dziedzic był animatorem działalności sportowo – rekreacyjnej pracowników tamtejszego szpitala. Nasze drogi rozeszły się w 1978 roku, w tym czasie obaj uzyskali specjalizację z chirurgii. Ponownie spotkaliśmy się w 1984 r., kiedy to ówczesny Dyrektor ZOZ Limanowa dr Jerzy Dziedzic ponownie przyjmował mnie do pracy w Oddziale Chirurgii Urazowej. Przez następne kilkanaście lat kontynuowaliśmy współpracę chirurgiczną, w tym czasie prowadził on Pododdział Chirurgii Dziecięcej, na którym wykonywał wiele interesujących zabiegów, a mali pacjenci mieli w nim od danego opiekuna. Zorganizował również Pododdział Leczenia Oparzeń, który był wyjątkową jednostką w strukturach szpitala powiatowego. W pododdziale tym



Jerzy Dziedzic - dyrektor limanowskiego szpitala w latach 1978-1991.

byli leczeni pacjenci z rozległymi oparzeniami, wymagający wielkiego nakładu pracy i doświadczenia terapeutycznego. Wielu pacjentów zawdzięcza życie i dobrą kondycję doświadczeniu dr. J. Dziedzica i do dnia dzisiejszego są żywym dowodem jego umiejętności i zaangażowania. Udało mu się znakomicie pogodzić obowiązki dyrektora szpitala, ordynatora oddziału, chirurga oraz społecznika. Przez wiele lat z jego inicjatywy funkcjonował w Szpitalu Klub Sportowy „VENA”, organizujący wiele interesujących imprez sportowych oraz spotkań towarzyskich. Dr Jerzy Dziedzic pozostanie w mojej pamięci jako dobry kolega, znakomity chirurg oraz sprawny Dyrektor – rzadkie połączenie tych wszystkich cech”.

Ogromnym wyzwaniem i pasją dr. Dziedzica była transplantacja skóry. Przez 12 lat funkcjonowania Ośrodka Leczenia Oparzeń (1987 – 1999) na 840 pacjentów tylko 6 zmarło, co stanowiło 2,5 %, a jak podają statystyki, śmiertelność chorych

leczonych przez oddziały specjalistyczne wynosiła ponad 50%. Najcięższe oparzenia leczone były przy pomocy metody prof. Hermansa. Dr Jerzy przywiózł ją jako pierwszy z Holandii, gdzie miał wielu przyjaciół. To właśnie Holendrzy w darze przekazali urządzenie medyczne „dermaton” do pobierania skóry. O funkcjonowaniu Ośrodka Leczenia Oparzeń i o dr. Dziedzicu mówiła przełożona pielęgniarek Bożena Bugajska: „Dr Dziedzic od początku miał wizję, jak ten oddział ma wyglądać. Ścisłe współpracował ze Szpitalem Leczenia Oparzeń w Siemianowicach, gdzie dyrektorem, a zarazem Krajowym Konsultantem ds. Leczenia Oparzeń był dr Stanisław Sakiela. Był lekarzem z powołania, szanującym pracę pielęgniarki, która była cały czas przy pacjencie. Był dobrym człowiekiem, a równocześnie bardzo wymagającym od nas. Był znakomitym menadżerem, miał bardzo dobry kontakt z chorymi i ich rodzinami. Interesował się losem pacjentów ▶

Ogródki działkowe, Dom Kultury w - limanowskie wspomnienia

► wypisanych ze szpitala do domu, jeździł do nich i odwiedzał ich. To człowiek o ogromnym sercu i kulturze osobistej. Zapiski w Kronice pacjentów świadczą najdobitniej o tym, kim był dr Dziedzic. Wśród nich był Leszek Biedroń z Limanowej: „Dziękuję bardzo za wyleczenie z tak ciężkich oparzeń, za włożenie pracy, dużo serca i cierpliwości (...)”.

Dr Dziedzic wpisał się złotymi głoskami w dzieje Ziemi Limanowskiej. Sukcesy Limanowszczyzny wiązały się z działalnością limanowskiego szpitala, a w dużej mierze jest to zasługa dr. Dziedzica, który za swoją działalność na wielu płaszczyznach otrzymywał liczne odznaczenia, m. in. Srebrny Krzyż Zasługi, a w 1997 roku odznakę „Za zasługi dla miasta Limanowej”.

Msza żałobna odprawiona została w Bazylice Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej 2 lipca. Podczas homilii m. in. podziękowano za dar życia doktora i podkreślono, że wielu ma mu tak dużo do zawdzięczenia. Za siostra Zofia Sułkowska ubrana w strój pielęgniarki swym ciepłym głosem żegnała śpiewem zasłużonego lekarza. Prochy zmarłego zostały złożone na cmentarzu parafialnym przy parafii Najświętszego Salwatora w Krakowie 3 lipca.

Warto przytoczyć, skierowane do mnie w jednej z ostatnich rozmów, słowa dr. Jerzego Dziedzica, „*Nigdy nie dążyłem do majątku, najważniejsza była dla mnie nauka, praca, rodzina i służenie innym. Mogę spokojnie umierać. Zawsze starałem się pomagać potrzebującym i nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić czy wykorzystać*”.

Ta wypowiedź na kilka dni przez śmiercią najpiękniej podsumowuje powołanie i służbę oddanego lekarza.

Fotografie arch.
rodziny Dziedziców

Wystawa w nowohuckim muzeum PRL-u.

W poprzednim numerze „Echa Limanowskiego” przypominałam historię Środowiskowego Domu Kultury przy ŁZPD w Łososinie Górnej. Ostatni rozdział tej niezwykłej opowieści został dopisany dzięki wystawie „PRL mieszka w nas? – kultura czasu wolnego”, zorganizowanej w Muzeum PRL-u (w organizacji) w Nowej Hucie, zarządzanym przez Muzeum Historyczne Miasta Krakowa (MHK). Kurator wystawy, adiunkt MHK Maria Wąchała-Skindzier, przedstawiając formy spędzania czasu wolnego oprócz działalności łososińskiego Domu Kultury przywołała historię limanowskiego kina „Sojusz” oraz ogródków działkowych przy ul. Zygmunta Augusta.

Autorkę wystawy, absolwentkę historii UJ, łączą z Limanową więzi rodzinne. W opowieść o czasach PRL-u postanowiła wpleść wspomnienia państwa Ireny i Stanisława Machowiczów, związane z historią ich ogrodu działkowego, materiały źródłowe, zamieszczone w „Echu Limanowskim”, ikonografię historyczną otrzymaną od p. Stanisława Ociepki oraz materiały merytoryczne publikowane w „Almanachu Ziemi Limanowskiej”, a także rozmowy z instruktorem KO łososińskiego Domu Kultury p. Czesławem Kożą. Jako historyka interesują ją dzieje najnowsze. „W przypadku historii PRL-u można spotkać się ze świadkami tego okresu twarzą w twarz”. – mówi autorka wystawy. „Dla wielu osób jest to historia bolesna, świadectwo terroru władzy ludowej. Jednocześnie wielu łączy ją z latami młodości, co budzi nostalgię i pozytywne skojarzenia. Rolą historyka jest spojrzenie na te dwa kontrastowe ujęcia z dystansem. Olbrzymi wpływ na mój rozwój miał prof. Andrzej Chwalba, promotor mojej pracy magisterskiej i przewodnika doktorskiego, który ukierunkował mnie nie tylko historycznie, ale także antropologicznie. Pracę magisterską poświęciłam miłowi Nowej Huty. Dzięki niej znalazłam pracę w MHK, gdzie poszukiwano historyka dziejów najnowszych. Odbylam staż w oddziale MHK „Dzieje Nowej Huty”, a obecnie pracuję w dziale Historii Sztuki Krakowa Nowoczesnego MHK. Patrzę na PRL w kontekście życia codziennego oraz kultury tego okresu”.



Maria Wąchała-Skindzier, autorka wystawy. W tle fotografia świetlicy Domu Kultury ŁZPD w Łososinie Górnej.

kino „Sojusz”, Środowiskowy Łososinie Górnej.

Ilona Machowicz-Jurowicz

„epoki minionej”

Wystawa ukazuje pięć otwartych przestrzeni narracyjnych: podwórko, działkę, kino, świetlicę i Empik nowohucki-miejsc będących symbolami czasu wolnego i kultury tamtych lat. Wewnątrz każdej z przestrzeni znaleźć można fotografie i obiekty stanowiące kanwę opowieści. Razem z autorką rozpoczynamy podróż do „minionej epoki”... z przystanku PKS-u.



Strona tytułowa katalogu wystawy.

Z przystanku ... na podwórko

Przystanek w PRL-u stanowił umowną granicę między czasem pracy a czasem wolnym. On porządkował czas, wyznaczał rytm dnia. Stąd odjeżdżało się do pracy, a następnie powracało się do domu. W tej części wystawy zostały wyeksponowane plansze ukazujące miejscowości przedstawione na wystawie. Są to tereny południowej Polski, Nowa Huta, Górny Śląsk oraz Limanowa i Łososina Górna.

„Podwórko - przestrzeń nie publiczna, ale też nie w pełni prywatna” - wyjaśnia Maria Wąchała-Skindzier. „W czasie prac nad wystawą szukałam elementu spajającego wszystkie przestrzenie narracyjne. Wtedy dyrektor Muzeum Historycznego



Miasta Krakowa Michał Niezabitowski zasugerował podwórko. To mikrokosmos, świat dorosłych i dzieci, więzi społecznych, których już dziś nie ma. Tu toczyło się życie codzienne, chętnie odpoczywało się po pracy i po szkole. W tej części pojawiają się charakterystyczne symbole: trzepak (miejsce integracji dzieci i młodzieży), ławeczka, rabatki kwiatowe, narysowane na chodniku klasy i „chłopiek”. W centrum podwórka stoją też, budząc duże zainteresowanie zwiedzających, motocykl Junak z wózkiem bocznym i skuter Osa. Z tym zapomnianym obrazem kontrastuje opis dzisiejszego podwórka: „Fontanny, eleganckie rzędy krzewów i kwiatów, trawa, po której nikt nie śmie deptać - podwórko cieszy oko, ale nie jest już swobodną przestrzenią. Na podwórku nikt nie spędza wolnego czasu, gdyż jest to zajęcie uważane za bezproduktywne i nierozwijające. Istotny jest także aspekt zamknięcia osiedla przed innymi, obcymi”.

Na działkę...

Z gwarne go podwórka przenosimy się na działkę. Choć tradycja działek wywodzi się z okresu międzywojennego, to ich największa popularność przypada na lata

PRL-u. Były atrakcyjnym miejscem spędzania czasu wolnego. Służyły uprawie roślin, przyczyniając się do urozmaicenia domowego jadłospisu. Działkowiczka z ogrodu limanowskiego wspomina: „Do lat 90-tych XX w. na naszej działce nie było ani skrawka trawnika. Każdy fragment ziemi staraliśmy się zagospodarować. Tylko wzdłuż alejki prowadzącej do altanki urządziliśmy piękne rabaty, a na górze tuż przy altanie posadziliśmy drzewa owocowe - jabłoni i śliwę. Na działkę zapraszało się gości (ta tradycja zachowała się do dnia dzisiejszego). W latach 80-tych XX w. zorganizowaliśmy kąciok dla wnuków, przyjeżdżających do nas na wakacje”. Działka była też świadkiem ważnych wydarzeń historycznych. Po wprowadzeniu stanu wojennego w altance przechowywano „bibułę”, którą spalono z obawy przed jej wykryciem.

W tej części wystawy autorka zrekonstruowała wnętrze altany działkowej z charakterystycznym umeblowaniem (drewniana ława, taborety) oraz wystrojem (wykonany z drewna kalendarz ścienny, drewniane, wypalane talerze) i wyposażeniem (garnuszki z porcelitu z ozdobnym wzorem).



Rodzinnie spotkanie na działce, Limanowa lato 1985 rok.

...i do kina

Jednym z najpopularniejszych miejsc spędzania czasu wolnego było kino, traktowane przez władzę jako ważne narzędzie propagandy. Stało się bezcennym źródłem wiedzy o rzeczywistości, „oknem na świat”, miejscem spotkania z wielką kulturą i ambitnym repertuarem. Autorka wystawy, aranżując wnętrze sali kinowej (charakterystyczne rzędy drewnianych, składanych krzeseł, ekran, projektor) opowiada dzieje dwóch kin nowohuckich „Światowid” i „Świt”. „Dzieje X muzy – wyjaśnia przedstawione zostały w historycznych wnętrzach dawnego „Światowida” na małej scenie dużej sali. - Jego budynek to obecna siedziba Muzeum PRL-u (w organizacji)”. W przeszłości duża sala posiadała 680 miejsc, a mniejsza 180. Kino zostało oddane do użytku 22 lipca 1957 roku i działało do 1992 roku. Po likwidacji mieścił się w nim salon meblowy, a od 2005 roku muzeum PRL-u. Do dziś w kabinie projekcyjnej zachowały się oryginalne projektory. Drugie nowohuckie kino- „Świt” miało status kina premierowego (podobnie jak „Kijów”). Po 1992 roku zostało przekształcone w centrum handlowe. Obecnie znajduje się w nim supermarket „Tesco”, a o jego przeszłości przypomina kawiarnia „Filmowa Cafe”.

W tej części wystawy spotykamy również ślady limanowskie- mianowicie historię kina „Sojusz”. „Byłam bardzo zainteresowana historią tego kina , opisaną

przez p. Jerzego Bogacza w „Almanachu Ziemi Limanowskiej” – mówi autorka wystawy. *Po przeczytaniu tego artykułu uznałam, że koniecznie powinna znaleźć się na wystawie. Poszukiwałam zdjęć budynku sprzed epoki „Biedronki”. Z pomocą przyszedł p. Stanisław Ociepka, redaktor „Echa Limanowskiego” który udostępnił fotografie z albumu „Okruchy pamięci” przedstawiające fasadę i elewację budynku na tle panoramy ul. Matki Bożej Bolesnej.”*



Fragment ekspozycji poświęcony kinu „Sojusz” w Limanowej.

Historia kina „Sojusz” przypomina losy krakowskiego „Światowida”. Oddane do użytku z okazji święta 22 lipca (kino „Sojusz” w 1966 roku) w latach PRL-u pełniły ważną funkcję kulturalną. Kino limanowskie posiadało salę widowiskową na 360 miejsc. Na parterze znajdowały się dwa halle kasowy i reprezentacyjny, w którym odbywały się również bale i wernisaże. Dyrektor Jan Bogacz dbał o aktualny i atrakcyjny repertuar- sprowadzane z Krakowa filmy były przywożone przez pracownika pociągiem. Po przemianach ustrojowych limanowskie kino podzieliło los kin nowohuckich. Obecnie w jego okazałym budynku mieści się dyskont spożywczy „Biedronka”.

Domy kultury – w dużych ośrodkach i na prowincji

Przestrzeń poświęconą działalności domu kultury i świetlicy wypełniają w znacznej mierze zdjęcia z kronik Środowiskowego Domu Kultury działającego przy ŁZPD w Łososinie Górnej. Przypominają o różnorodnych formach spędzania czasu wolnego, organizowaniu kursów, bogatej ofercie zajęć plastycznych, muzycznych, tanecznych, czy imprezach dla społeczności limanowskiej.

Osobne miejsce zajmują plansze ukazujące działalność teatru amatorskiego. Informacje o działalności łososińskiej placówki zostały wzbogacone o relacje p. Czesława Kozy, instruktora KO, na kanwie których powstał wspomniany we wstępie artykuł w „Echu Limanowskim”.

W tej części wystawy autorka wykorzystała również zdjęcia z działalności kilkunastu innych placówek z południowej Polski. Obszerniej przedstawiła oprócz Środowiskowego Domu Kultury w Łososinie Górnej działalność Zakładowego Domu Kultury Huty im. Lenina oraz domów kultury z terenu Górnego Śląska. Porównując sfery działalności obu instytucji można dostrzec wiele podobieństw; bogata oferta zajęć, zespoły teatralne i muzyczne, popularyzacja czytelnictwa, zajęcia dla dzieci, imprezy organizowane dla środowiska. Po przemianach ustrojowych został zlikwidowany Dom Kultury w Łososinie. Ten nowohucki przetrwał dzięki dobrej woli dyrekcji kombinatu oraz wsparciu prezydenta Krakowa. Obecnie przyjął nazwę Ośrodek Kultury im. Norwida.



spotkań nauki i kultury, tu odbywały się wernisaże, odczyty, wieczory autorskie. Autorka, opowiadając historię tego miejsca, przypomniała słynną debatę na temat „Poematu dla dorosłych” Adama Ważyka, stanowiącą ważny element rozrachunków odwilży gomułkowskiej 1956 roku.

historii”, na którym znajduje się prototyp posągu Lenina autorstwa Mariana Koniecznego. Tło stanowi fotografia autorstwa Janusza Podleckiego z odsłonięcia pomnika Lenina w Nowej Hucie (pomnik zdemontowano po przemianach ustrojowych, obecnie znajduje się w Szwecji u prywatnego kolekcjonera). Obok niego umieszczono kilka propagandowych obrazów rocznicowych oraz tablice z nazwami ulic noszących imiona komunistycznych bohaterów, którym w latach 90-tych przywrócono ich historyczne nazwy.

„Śmietnik historii - mówi o jego ironicznej symbolice Maria Wąchała- Skindzier jest metaforą. Nie tylko zmiany, odrzucenia tego, co niepotrzebne i nieprzystające do nowych realiów. Funkcją śmietnika jest także porządkowanie rzeczywistości, znajdują się w nim rzeczy będące efektem sprzątnięcia, wprowadzanie ład, nowego życia. Zwraca uwagę na jeden ukryty aspekt- wyrzucanie tych symboli, znaczeń z pamięci. Bo przecież fakt, że coś wyrzucimy, nie sprawi, że to całkowicie zniknie, że tego nie będzie. Jest to część naszej przeszłości i naszej tożsamości, od której nie można uciec”.



Nowohucki Empik – metafora wielkomiejskości

„Nowohucki „Empik” (Klub Międzynarodowej Książki i Prasy) – mówi autorka wystawy – był metaforą wielkomiejskości Nowej Huty. Reprezentacyjny duży salon prasowy z kawiarnią, czytelną, kabinami do nauki języków obcych i pawilonem wystaw stanowił o miejskim charakterze Nowej Huty. Był miejscem

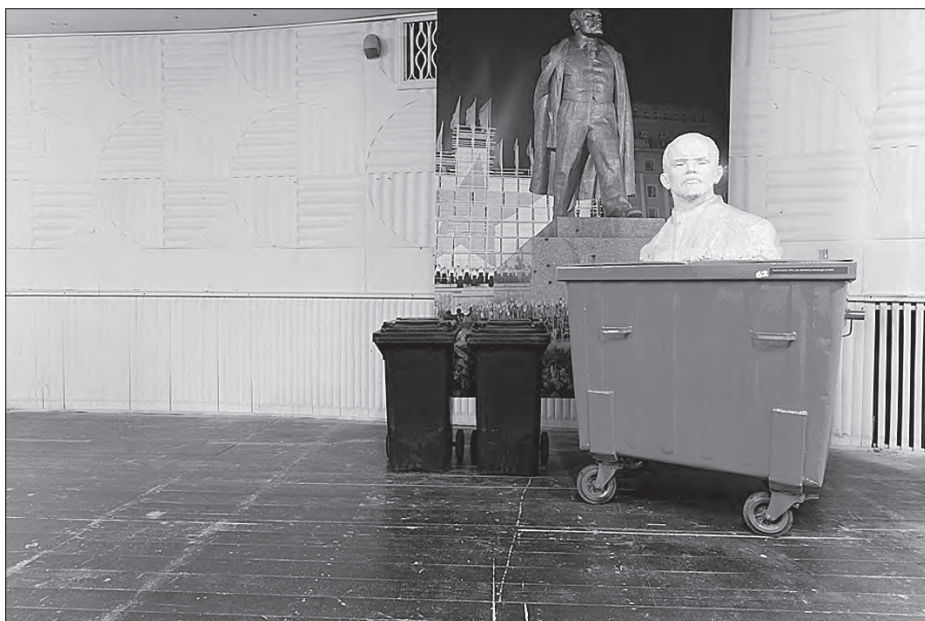
Wiersz zawierał charakterystykę życia w państwie totalitarnym, ukazywał brak poczucia ciągłości historycznej i skutki odejścia od tradycji. Wywołał żywą reakcję w środowisku intelektualistów, której odzwierciedleniem były publikacje, zamieszczone na wystawie i w ten sposób wydobyte z zapomnienia.

Śmietnik historii

Symbolicznym, otwartym zakończeniem wystawy jest instalacja „śmietnika

PRL mieszka w nas?

Tytuł wystawy „PRL mieszka w nas? kultura czasu wolnego” ma formę pytania. Odwiedzający mogą włączyć się w dyskusję na temat dziedzictwa PRL-u pozostawiając swoje wypowiedzi na tablicy, przypominającej gazetkę ścienną. Tworzy ona oryginalną księgę pamiątkową. Tablica zapełnia się wspomnieniami na temat codzienności PRL-u. Są one często przepełnione nostalgią za przemijającą młodością:



„Wiek mojego dzieciństwa, świat podwórkowych zabaw, ale też psychologicznego strachu. Wiek absurdu. To paczki z zagranicy, które otrzymywała moja rodzina. W nich mieszkaly kolory i zapachy tego, co na co dzień było nieosiągalne”.

„To były piękne dni. Oranżada w woreczku żółta i czerwona. Dmuchany ryż. Woda z sokiem z saturatora. Guma balonowa „Donald”.

„Było super! Byliśmy młodzi!”

„Chciałabym, abyśmy odeszli od jednoznacznego obrazu PRL-u; sielskiego lub przepojonego cierpieniem i martyrologią - podsumowuje autorka. „Rozumiem odrazę wobec terroru, poczucie krzywdy, niezawinione i niesprawiedliwe cierpienie ofiar. Temu zagadnieniu jest poświęcona wystawa w oddziale Muzeum Historycznego Miasta Krakowa ul. Pomorska „Krakowianie wobec terroru 1939-1945-1956”, przy tworzeniu której współpracowałam. Obecna ekspozycja także ukazuje ingerencję systemu w życie codzienne; wszechobecną propagandę, czyny społeczne, brak poczucia wolności. Jednak warto popatrzeć też na życie codzienne, kulturę czasu wolnego, na niwie której w PRL-u przecież bardzo dużo się działo. Rozumiem również nostalgię za przeszłością starszego pokolenia- to ich młodość, poczucie stabilizacji życiowej, iluzoryczne przekonanie o pewności jutra. Zależy mi na tym, abyśmy zaczęli rozmawiać o tamtej epoce, nie wyrzucali jej na śmietnik historii, bo przecież to część naszej tożsamości”.

Wystawa, otwarta 17 czerwca br. cieszy się powodzeniem. Odwiedza ją młodzież, korzystająca z lekcji muzealnych.



Ogólny widok z wernisazu na hall wejściowy, otwierający ekspozycję.

Przychodzą dziadkowie z wnukami - w ten sposób zostaje nawiązany dialog międzypokoleniowy. Zwiedzają ją turyści z zagranicy oraz reprezentanci Polonii (na otwarciu wystawy była obecna konsul USA Ellen Germian). Przychodzi też wielu młodych ludzi, których wiedza o PRL-u jest niewielka. Dzięki ekspozycji mogą ją pogłębić.

Czy PRL mieszka we mnie, autorce tego artykułu? Jest częścią mego życia, na ten okres przypadło moje dzieciństwo. Należę do generacji, dla której przeżyciem pokoleniowym był rok 1989. Byłam wtedy studentką polonistyki, z perspektywy krakowskiej ulicy obserwowałam, jak runął komunizm. Zlikwidowano studium wojskowe, ulice zmieniały swe nazwy, na stolikach sprzedawano

zakazane książki, zmieniła się scena polityczna, a sklepy wypełniły się towarami. Zachłysłnaliśmy się wolnością. Na refleksję, daleką od optymizmu, czas przyszedł później. Myślę, że drogą do zrozumienia PRL-u jest wiedza. Na temat wielkiej historii, bez cenzury i „grubych kresek” oraz na temat tej lokalnej, którą poznałam dzięki współpracy z „Echem Limanowskim”. Co było najcenniejsze w tej epoce? Sądzę, że ludzie. Ci niezłomni, wierni Herbertowskiemu zasadom. A także ci, którzy „łagodzili dzikość i okrucieństwo lawiny” - społecznicy, animatorzy kultury, spadkobiercy idei „szklanych domów”. Ich twarze spoglądają ze zdjęć na wystawie... Zakończę smutną refleksją, że niewiele jest takich osób w naszym otoczeniu...

Wystawa w Muzeum PRL-u (dawne kino „Światowid” os. Centrum E1 Nowa Huta – tuż przy Placu Centralnym) będzie czynna do 28 lutego 2016 roku. Jeszcze raz zapraszamy do jej zwiedzania.

Fotografie: ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa oraz ze zbiorów prywatnych

Limanowa widziana z wieży kościoła w 1940 r.

Stanisław Ociepka

Takiej Limanowej już nie ma. Jej obraz uchwycony został przez nieznanego fotografa z wieży kościoła, podczas okupacji hitlerowskiej w 1940 roku.

Zdjęcia pochodzą z rodzinnych zbiorów Ryszarda Szumilasa. Są to cztery fotografie, które umownie kolejno zostały zatytułowane: *W otoczeniu Potoku Starowiejskiego - widok w kierunku południowo - zachodnim*

miasta; Wschodnia część pierzei rynku - w kierunku wschodnim; Widok na Chłopską Górę - w kierunku północnym i Piekło przy ulicy Krakowskiej - w kierunku zachodnim.

Nie są to zdjęcia wyjątkowe, bowiem z wieży limanowskiego kościoła widoczne najczęściej są dachy zabudowań miasta, ale ze względów dokumentalnych stanowią

niewątpliwie dużą wartość. W opisie fotografii pomogli mi seniorzy Limanowej, p. Maria Kazimierzak (Krasuń) i p. Antoni Mamak.

Ci, którzy pamiętają tamtą Limanową niewątpliwie ze wzruszeniem obejrzą zdjęcia i być może dopełnią ich opis, który zapewne nie jest pełny. Inni zaś, szczególnie młodzi limanowianie będą mogli w wyobraźni „przenieść” się do Limanowej sprzed 75 lat. ►



► Fotografia pierwsza zatytułowana: *W otoczeniu Potoku Starowiejskiego*, ukazuje południową część naszego miasta. Na pierwszym planie są tereny działkowe, dalej dom rodziny Tomaszaków z ogrodem. Po stronie prawej widzimy kamieniste koryto rozlanego Potoku Starowiejskiego, przez który przechodzi drewniany most od ul. Marcelego Bursztyna w kierunku Lipowego. Powyżej mostu na zboczach Lipowego widzimy pojedyncze domy na rozległych polach należących w tym czasie do parafii limanowskiej. Wzdłuż ul. Bursztyna (dziś Józefa Marka), biegnie odkryty potok Jabłoniec. Po stronie lewej znajduje się budynek maszynowni z kotłownią, w którym znajdowały się urządzenia, pracujące na potrzeby browaru. Obok stoi wysoki ponad 30 metrowy murowany komin zachowany do dzisiaj. Komin ten wybudowała przed 1914 r. firma „Pierwsza Galicyjska Spółka” z Lwowa.

Dalej stoi biały dwukondygnacyjny budynek, w którym w latach międzywojennych mieściły się biura administracji browaru, a w pozostałej jego części były mieszkania socjalne. Po II wojnie światowej był on jeszcze zamieszkały przez kilka lat, do czasu wyburzenia. Na miejscu tego budynku postawiono sąd.

Obok są dwa kolejne domy - w pierwszym mieszkał Peigert, burmistrz Limanowej w czasie okupacji niemieckiej. Później mieściło się tu przedszkole. W kolejnym budynku w latach międzywojennych był posterunek policji.

Między potokiem, a drogą prowadzącą w kierunku Starej Wsi, tuż przy moście na Lipowe przy topoli stoi mały budynek, w którym była zlewnia mleka. W głębi po lewej widać zabudowania gospodarcze (stodoły) majątku Marsów, a po stronie prawej są tereny, które przekazała rodzina Marsów na boisko do gry w piłkę nożną. Dziś jest tu stadion „Limanovii”.

Druga fotografia zatytułowana jest: *Wschodnia część pierzei rynku*. Na pierwszym planie tego ujęcia po stronie lewej (północna część rynku), widoczny jest mały fragment dachu limanowskich podcieni spalonych w styczniu 1945 roku. Do nich przylega kamienica Biela. Wschodnią stronę rynku rozpoczyna dwupoziomowa kamienica, dalej znajduje się podcieniowy budynek, w którym w latach dwudziestych ubiegłego wieku mieścił się magistrat – siedziba władz miejskich.

Kolejna zabudowa tej części rynku to parterowe drewniane domy o spadzistych dachach krytych najczęściej papą. Większość z nich była własnością Żydów limanowskich.

Szczegółowo o wschodniej pierzei limanowskiego rynku pisałem w artykule zatytułowanym „Postscriptum – Okruchów pamięci” (EL nr 176-177, maj-czerwiec 2009r.).





Wracając do fotografii, między szeregiem budynków wschodniej pierzei rynku widzimy perspektywę ulicy Daszyńskiego obecnie Matki Boskiej Bolesnej. Zdjęcie zapewne wykonane zostało w południe, gdyż widoczne są wyraźne cienie budynków wzdłuż ulicy. Ciekawa jest strona lewa fotografii. Wysoki biały budynek to jedna z trzech limanowskich bożnic. Za nim w kierunku prawym obok ogrodzenia znajduje się budynek aresztu, dalej sąd, widoczny jest także szczyt kamienicy „Pszczółki”, w której w okresie okupacji hitlerowskiej mieścił się posterunek policji niemieckiej. Poniżej przy szeregu wysokich świerków są boiska „Sokoła”, a przy nich kręgielnia. W tym czasie potok Mordarka nie był jeszcze uregulowany. Za świerkami biegnie most (niewidoczny na fotografii), na potoku Mordarka, za którym znajduje się plac do handlu zwierzętami, tzw. „Targowica”. Obok wejścia na plac przy wysokim drzewie stoi murowana biała kapliczka, a po drugiej stronie bitej drogi stoi dom, z bogatą historią. To dom Zielińskiego – limanowskiego masarza. Po II wojnie światowej mieszkali w nim

kolejno: kapitan Wojtowicz z rodziną (szef Wojskowej Komendy Uzupełnień), inż. F. Dutkiewicz (nauczyciel w Państwowym Gimnazjum Leśnym). Ostatecznie dom kupił Jerzy Kwieciński, adwokat limanowski i zamieszkał w nim z rodziną.

Idąc dalej bitą drogą w kierunku północno-wschodnim, za zakolem tej drogi stoi budynek rzeźni. Na jego zapleczu mieszkała rodzina Wójcika, znanego masarza limanowskiego. Podążając dalej tuż przy torach kolejowych, dochodzimy do willi Leopolda Wintera, burmistrza Limanowej w latach czterdziestych ubiegłego stulecia.

Po stronie prawej fotografii rozciągają się pola uprawne tzw. „Dzioly”. Rejon ten obecnie jest gęsto zabudowany. W głębi fotografii widoczny jest park dworski z aleją lipową oraz zabudowaniami dworu Sitowskich – Gibasów (spalony w 1945 r.). Fotografie zamyka (po stronie lewej) wschodnie zbocze Łysej Góry.

Fotografia trzecia zatytułowana: *Widok na Chłopską Górę*. W połowie Chłopskiej Góry w pasie pól uprawnych w zagajniku widoczny jest drewniany dom wybudowany na początku XIX wieku,

tzw. „Abramówka”. W czasie okupacji był tam punkt kontaktowy i przerzutowy kurierów AK, północ – południe. Dom ten spłonął latem 2003 roku. U podnóża tej góry widoczne jest osiedle nazwane przez mieszkańców „Na Granicach”. To miejsce zamieszkania rodzin: Bulandów, Mamaków, Porębów, Surmów. W tym to rejonie w latach okupacji hitlerowskiej ukrywało się wielu mieszkańców Limanowej. Schodząc drogą w kierunku miasta (obecnie ul. Kolejowa), widoczne są dwa białe domy. Kolejno: mniejszy, Józefa Mamaka - stolarza i większy, Walentego Jońca. Na wysokości gospodarstwa Jońca w kierunku zachodnim w zagajniku jest kirkut - żydowski cmentarz. Poniżej od strony prawej znajduje się rodzinny dom Wojciecha Biedronia, a dalej charakterystyczna willa Żuk-Skarszewskich, obecnie mieści się tu Nadleśnictwo. Kolejne budynki to domy rodzinne Puchów, Wątrobów i Czyżowskich. Dochodzimy do zakrętu na drodze w kierunku stacji kolejowej, ul. Krakowskiej, przy której na wzniesieniu znajduje się dom Ceglarsów. Powyżej niego jest duży budynek kolejowy, ►

► nad którym po stronie lewej stoi dom, a obok znajduje się stodoła. Mieszkała tu Sechowa. Idąc w kierunku zachodnim w stronę stacji kolejowej, przy drodze jest rodzinny dom Arona Lustiga. Po wojnie mieszkali w nim: Michał Wrona, Antoni Drożdż, Stefan Kędroń, Elżbieta Okręglak i Zygmunt Kupiec. Dalej stoi duża kamienica, gdzie mieścił się hotel Lustiga o nazwie „Pod Białym Orłem”. Obecnie znajdują się tu biura i magazyny firmy „Wrona”.

Poniżej w kolejnej linii mamy grupy domów (od prawej) Dolipskich i Młynców oraz dom rodzinny Fabianów, mieszkały tu rodziny: Lisowskich, Kędroniów i Murowanieckich. Opisane budynki z ogrodami otoczone są polami uprawnymi. Obecnie przez te tereny biegnie, jedna z głównych ulic Limanowej, to ulica Kopernika.

Dochodzimy do pierwszego planu fotografii, gdzie widzimy budynek Szkoły Podstawowej. W 1940 roku, a więc w chwili zrobienia zdjęcia były tam zakwaterowane wojska Wehrmachtu. Po stronie prawej szkoły widoczne są zadaszenia budynków przy ulicy Zielonej, a po stronie lewej stoi duży budynek w stanie surowym, mieściła się tam poczta. Idąc wzdłuż ulicy Krakowskiej w kierunku północnym, po jej stronie prawej są dwa budynki żydowskie. W tym większym po wojnie miała siedzibę milicja obywatelska. Na miejscu mniejszego w latach 60. ubiegłego stulecia wybudowano Dom Nauczyciela, obok którego w głębi po stronie prawej jest dom z ogrodem rodziny Sułkowskich. W ostatnich latach w części tego ogrodu wybudowano nowy budynek, który został połączony przewiązką z Domem Nauczyciela Obecnie mieści się tu Zespół Szkół „Ekonomik”.

Przechodząc na drugą stronę drogi naprzeciw poczty, widoczny jest most na potoku Mordarka i dalej przydrożna mурowana kapliczka, a za nią dom Roterów. Zaraz po wojnie miały tu siedzibę kolejno: Wydział Oświaty, Powiatowy Ośrodek Sportu Turystyki i Wypoczynku oraz baza Przedsiębiorstwa Turystycznego „Śnieżnica”, a na zapleczu mieszkała rodzina Staniszków. Dalej widoczny jest długi dom Garczyńskich. Obecnie w tym rejonie stoi budynek, w którym jest Bank Przemysłowo-Handlowy.

Ostatnia fotografia przedstawia rejon tzw. „Piekła”. Był to rejon przy ulicach: Mordarskiego, Krakowskiej i Szwedzkiej. To drugie obok „Kamieńca” duże skupisko domów żydowskich. Wychodząca z rynku, idąc w kierunku stacji kolejowej do Sowlin, przy ostrym zakręcie odbiega w lewo ulica Szwedzka, która



proceedzi na cmentarz parafialny, na zdjęciu widoczny jest w głębi z kaplicą rodową Marsów. Tuż przy zakręcie (po stronie prawej) jest dom Leśniewskich, a dalej długi budynek, w którym mieściła się rozlewnia oranżady. Po stronie przeciwnej widoczny jest dach budynku zakładu fotograficznego Franciszka Fijała, a obok niego duża biała kamienica Żyda Nuzbauna, którą po wojnie nabył Hajnold. Po lewej zaś stronie ul. Szwedzkiej był sklep żydowski ze skórami, mieszkał tu szewc Władysław Bieda. Z tyłu tego budynku widoczna jest biała frontowa ściana kamienicy limanowskiego Rabina. Wracając od zakrętu na ulicy Krakowskiej w stronę rynku, po stronie lewej jest ciąg parterowych domów żydowskich. Wyróżniają się tutaj dwie murowane kamienice polskich kupców: Olszewskiego (widoczne dwa okna) i Klimka (budynek na pierwszym planie). Po prawej zaś stronie ulicy

pierwsza kamienica była własnością Michała Gnoińskiego, limanowskiego lekarza, dziś ma tu siedzibę Cech Rzemiosł i Przedsiębiorczości.

W głębi fotografii charakterystycznym budynkiem z werandą jest dom rodzinny Wojsów, w którym mieściła się pierwsza piekarnia w Limanowej, wypiekająca jeszcze po wojnie znakomite pieczywo. W rejonie tym była druga bożnica oraz łaźnia żydowska.

Poniżej cmentarza rozciągają się pola uprawne (obecnie stoi tu budynek, a teren cmentarza został powiększony). Na zakolu widoczne jest duże rozlewisko wodne, gdzie dwa potoki Starowiejski i Mordarka łączą się w rzekę Sowlinkę.

W panoramie widzimy wstęgę drogi prowadzącą w kierunku północnym. Przy ulicy Słoneczna, na jej początku przy wysokich drzewach jest „Bekówka” dom Józefa Beka. Powyżej znajduje się rodzinny dom biskupa Bednarczyka.

Idąc w kierunku Limanowej, w tej części fotografii są zabudowania rodziny Józefa Mamaka znanego działacza ruchu ludowego na Ziemi Limanowskiej. W głębi fotografii widoczne jest Pasma Łososińskie.

Przedstawione fotografie Limanowej, w taki sposób pokazane zostały po raz pierwszy, a widoczne na nich budynki zostały rozpoznane i w większości przyporządkowane właścicielom. Określono również funkcje, jakie spełniały niektóre z tych budynków w owym czasie. Dzięki tym fotografiom „zatrzymano w kadrze” dawny obraz Limanowej.

Wyrażam podziękowanie konsultantom, którzy pomogli mi przy opisie fotografii. Szczególne podziękowanie kieruję do p. Marii Kazimierzak i p. Antoniego Mamaka, jak również dr Józefa Szymona Wrońskiego, z którym dokonałem weryfikacji opisu.

Pierwsi członkowie Podhalańskiej Spółdzielni Owocarsko-Warzywniczej

Adam Kapturkiewicz

Prace nad powołaniem Spółdzielni zostały zapoczątkowane w roku 1934. Józef Marek próby przechowywania owoców przeprowadzał w pomieszczeniach piwnicznych Spółdzielni Mleczarskiej w Tymbarku, udostępnionych mu za darmo. „Nie bez znaczenia na wyniki tych pierwszych prób była działalność prywatnych handlarzy – spekulantów, którzy byli w stanie regulować cenę na owoc. To wszystko jednak Marka nie zrażało a wprost przeciwnie, dopingowało go do przyspieszenia założenia Spółdzielni.”

Pierwsze założycielskie walne zebranie Spółdzielni Owocarsko-Warzywniczej odbyło się 4 listopada 1935 roku. Tak jak dzisiaj polityka stoi na przeszkodzie szeroko pojętego rozwoju, tak i wówczas z powodów politycznych starano się uniemożliwić powstanie Spółdzielni. „Władze powiatowe zagroziły nawet wydaleniem Józefa Marka z powiatu”. Aby uspokoić sytuację, założyciele Spółdzielni postanowili uznać pierwsze zebranie

N. bieżący rejestru	CZŁONEK Imię i nazwisko względnie firma osoby prawnej	Zatrudnienie	Miejsce zamieszkania	Data przyjęcia do spółdzielni	UDZIAŁY ZADEKLAROWANE		
					Data zadeklarowania	Ilość	Data zadeklarowania
1.	Roman Aleksander	przepracownik	Podkowice	16.VI.1940	2/8.1938	5	
2.	Turzka Zofia	nauczycielka	Tymbark	16.VI.1940	12.VI.1940	10	

Druhá strona Rejestru Członków Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku z roku 1940.

założycielskie za próbne, zwołując kolejne na dzień 26 kwietnia 1936 roku.

Jednak twórcy „Owocarni” uważali zawsze datę tego pierwszego zebrania za datę powstania Spółdzielni. Możemy o tym przeczytać chociażby

w sprawozdaniu Podhalańska Spółdzielnia Owocarsko-Warzywnicza im. Józefa Marka w Limanowej 1935-1975, Tymbark 4 XI 1935-Limanowa 4 X 1975, napisanym przez Józefa Kulę, Antoniego Janika.

(ciąg dalszy na stronie 37)

Szum lotniczych silników nad Dzielcem

Ilona Machowicz- Jurowicz

- inscenizacja zrzutu na „Sójce 401”

Pogodna noc z 9 na 10 lipca 1944 roku. Zbliżała się północ. Ciszę panującą nad Dzielcem przerwał warkot silników bombowca Handley Page Halifax JP-254 „D” pilotowanego przez W/O Clacketta. Na polance oznaczonej jako zrzutowisko „Sójka 401” pojawiły się sygnały świetlne latarek, nadające literę odzewu, wysyłane przez obsługę zrzutowiska: żołnierzy z placówki AK „Kuznia” oraz partyzantów z oddziału „Wilk”. Chwilę później nastąpił zrzut 12 zasobników, zawierających broń, m.in. brytyjskie granatniki przeciwpancerne PIAT, pistolety maszynowe STEN, elementy umundurowania, buty, opatrunki osobiste oraz lekarstwa. Po upływie pół godziny znów nad polanką zaległa cisza.

Minęło 71 lat

Gorące południe 12 lipca 2015 roku. Na dawnym zrzutowisku „Sójka 401” stanowiącym jeden z punktów ścieżki historycznej, liczna grupa osób oczekujących na przelot samolotów. Wydarzenie ma upamiętnić historię zrzutów oraz uczcić pamięć lotników alianckich i żołnierzy AK. Sceneria przypomina tę sprzed lat. Na tej samej polanie pojawiają się partyzanci ze Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych 1.psp AK oraz Stowarzyszenia Miłośników Historii z Łabowej 1.psp. Nawiązując do realiów historycznych, prowadzą odbiór zrzutu. Prezentują obecnym replikę zasobnika zrzutowego typu C z zawartością oraz broń i umundurowanie oddziałów partyzanckich. Inscenizację komentuje nauczyciel gimnazjum w łopnicach Przemysław Bukowiec. W samo południe nadlatuje 5 samolotów z lotniska w Łososinie Dolnej: **Auster 5** prowadzony przez por.pil. Leszka Mańkowskiego, **RWD-5R** prowadzony przez kpt. pil. Józefa Wójtowicza, **Zlin 142** pilotowany przez prezesa Aeroklubu Podhalańskiego pil. Andrzeja Saratę z mjr. pil. Stefanem Gładysiem- wiceprezesem Oddziału Krakowskiego Stowarzyszenia Lotnictwa Wojskowego RP „**Tulak**” za



sterami pil. Jerzy Kołodziej, wiceprezes Lotnictwa Eksperymentalnego EAA 911 oraz **Piper Cub** prowadzony przez pil. Antoniego Nowaka. Dokonują symbolicznego zrzutu - zamiast zasobników z wyposażeniem i bronią są to słodkie niespodzianki, przyjęte z radością przez dzieci.

Organizatorami inscenizacji na Dzielcu byli: Oddział Krakowski Stowarzyszenia Lotnictwa Wojskowego RP, Stowarzyszenie Lotnictwa Eksperymentalnego EAA 911, gmina Słopnice z wójtem gminy Adamem Sołtysem, SRH 1.psp. AK oraz Stowarzyszenie Miłośników Historii z Łabowej 1.psp. Warto przypomnieć, że pomysł rekonstrukcji zrzutów alianckich powstał pod koniec 2013 r. (pisaaliśmy o tym wydarzeniu w „Echu”)

w Oddziale Krakowskim Stowarzyszenia Seniorów Lotnictwa Wojskowego RP. Pierwszy symboliczny zrzut odbył się na Polankach Szczawskich w grudniu tego samego roku. Kolejna rekonstrukcja zrzutów miała miejsce we wrześniu 2014 r. w Słopnicach na zrzutowisku „Sójka” obok Dzielca podczas otwarcia ścieżki historycznej 1. psp ak im. kpt. Juliana Krzewickiego. W grudniu 2014 r. miłośnicy rekonstrukcji ponownie spotkali się na Polankach Szczawskich, jednak przelot samolotów udaremniły mgła i opady śniegu.

Lipcowa inscenizacja spotkała się z bardzo ciepłym przyjęciem przez obecnych. Na następną rekonstrukcję zrzutów organizatorzy zapraszają w grudniu br. na Polanki Szczawskie.



Na zrzutowisku „Sójka 401”



Wzgórze Dzielec 2015 r.

Fotografie: arch. Janusz Jurowicz



W ogrodzie Antoniego Mamaka



Fotografie: Stanisław Ociepka

www.szubryt.pl

Szubryt[®]
ZAKŁADY MIĘSNE



***tak smakuje
góralaska tradycja***

Pierwsi członkowie Podhalańskiej Spółdzielni Owocarsko-Warzywniczej

„Z powyższego wynika, że dzień 4 XI 1935 r. uznać należy za datę faktycznych narodzin Spółdzielni. Narodziny prawne tej spółdzielni, poprzez jej zarejestrowanie w Sądzie nastąpiły dopiero w 1937 roku.

Dzięki wpływowym kolekcjonerom dzieł sztuki, chcącym zachować anonimowość, miałem możliwość przeglądać zachowany Rejestr Członków Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku pochodzący z 8 lipca 1940 roku. Księga ta została zaciągnięta sznurem i zapieczętowana 17 sierpnia 1939 roku przez Związek Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych Rzeczypospolitej Polskiej.

Interesująca jest rubryka: „udziały zadeklarowane”, a w nim kolumna: „data zadeklarowania”. Faktyczne daty zadeklarowania uzupełniono ołówkiem po śmierci Aleksandra Romera, czyli po 24 lipca 1941 roku. Można tak wnioskujeć po dopisku „Zmarł”, który wykonano tymże ołówkiem w rubryce odnoszącej się do Romera. Być może daty uzupełnione są z pierwszej księgi lub ukrytej kopii przed okupantem.

Z notatek możemy się dowiedzieć, iż część osób zadeklarowała swoje udziały jeszcze przed zebraniem założycielskim. W 1935 roku było to osiemnaście osób, więc można je poniżej wymienić. Z notatek tych wynika, że pierwszym udziałowcem był Franciszek Bubula, który wcześniej analizował sposób pracy i opłacalność powołania Spółdzielni Mleczarskiej w Tymbarku.

Dąb widoczny na pierwszym planie rósł w miejscu obecnego chodnika obok budynku nieczynnego browaru. Na lewo widać zabudowania; mieściły się one na terenie byłego browaru, był to dom kolejowy gdzie mieszkał zawiadowca. Drzewo zasłania częściowo budynek biurowy, wtedy ze skromniejszym dachem. Kolejny budynek posiada lukarny zlikwidowane przy odnowie dachu w 2014 r. Na budynku tym znajduje się komin nieistniejącej kotłowni.



Nr	Członek	Zatrudnienie	Miejsce zamieszkania	Data zadeklarowania
2	Zofia Turska	właścicielka posiadłości	Tymbark	3.11.1935
6	Franczyk Józef	rolnik	Zbludza	3.11.35
9	Wierzycki Józef	rolnik	Roztoka	12.6.1935
18	Bubula Franciszek	rolnik	Piekielko	1935.6.9
23	Macko Jan	rolnik	Tymbark	1935
27	Sliwa Kazimierz	rolnik	Krasne Lasocice	1935
71	Pajor Jan	rolnik	Jodłownik	1935
72	Prökl Marian	Właściciel sadu	Tymbark	3.11.1935
75	Inż. Marek Józef	rolnik	Kisielówka	5.11.1935
85	Pachowicz Antoni	rolnik	Zawadka 8	3.11.1935
93	Lach Wojciech	rolnik	Wilkowisko 14	3.9.1935
100	Kuziel Józef	rolnik	Kamienica	3.11.1935
101	Świnka Jan	rolnik	Kamienica nr 359	3.11.1935
104	Kuziel Józef	rolnik	Szczawa 69 Kamienica	3.11.1935
114	Szwabe Jadwiga	rolnik	Kisielówka	3.11.1935
115	Wąchała Józef	rolnik	Zasadne	3.11.1935
116	Franczyk Stanisław	rolnik	Zalesie nr 56	3.11.1935
183	Kuziel Jan	rolnik	Nr 140 Kamienica	3.11.1935

Im zawdzięczamy rozwój Limanowej

Stanisław Ociepka

- w rocznicę 450-lecia lokacji miasta – cz. 2

W poprzednim wydaniu „Echa” rozważania związane z wydarzeniami, jakie miały miejsce na przestrzeni dziejów w Limanowej, zostały zakończone wspomnieniami związanymi z ruchem ludowym w powiecie limanowskim i ich liderem Józefem Mamakiem.

Bliskim współpracownikiem Józefa Mamaka był Walenty Gawron, syn Jana Gawrona długoletniego wójta Starej Wsi.



Północno-wschodnia część rynku, lata międzywojenne. Fot. Leon Szewczyk.

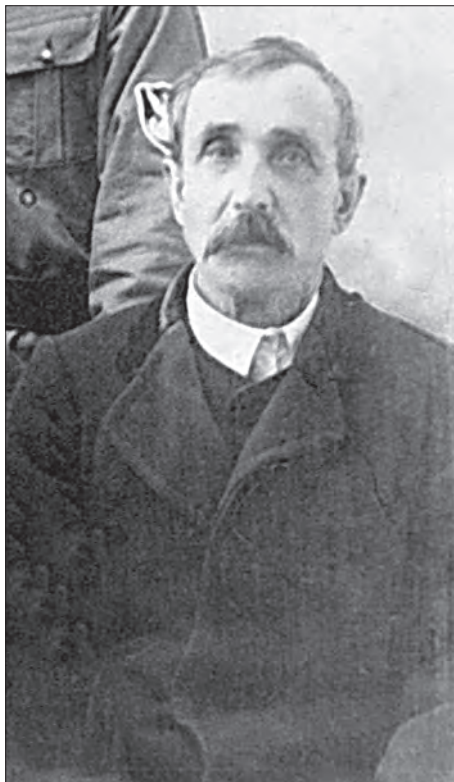


Współczesny wygląd północno-wschodniej części rynku. Fot. Stanisław Ociepka

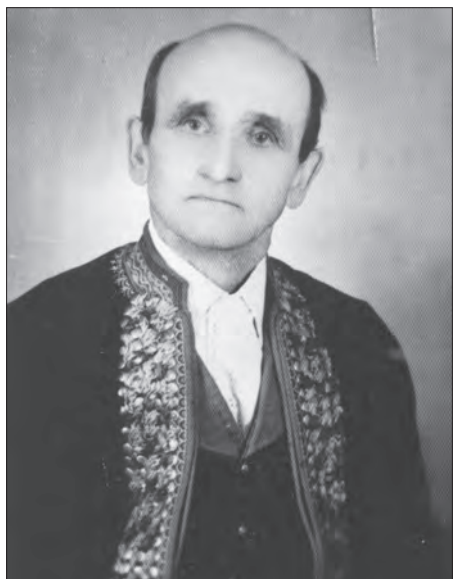
Jan Gawron (1855 – 1934) – działacz i obrońca ludu. Włączył się w działalność na rzecz obrony praw chłopów polskiego zapoczątkowaną przez ks. S. Stojałowskiego. Współorganizował wiece, na których chłopom domagali się swoich praw. Aby mogli być na bieżąco z wydarzeniami politycznymi i gospodarczymi, zakładał kółka rolnicze. Za swoją działalność, mądrość, aktywność i odwagę w 1899 r. został wybrany wójtem w gminie Stara Wieś w pobliżu Limanowej i był nim przez 23 lata, a przez 25 członkiem Rady Powiatowej w Limanowej. Można o nim przeczytać w artykule Zofii Wiśniewskiej zatytułowanym: *Jan Gawron – długoletni wójt starowiejski, pisarz, działacz i obrońca ludu* („EL” 200-201, 2011r.). Jego syn **Walenty Gawron** poszedł w ślady ojca i aktywnie działał w ruchu ludowym w powiecie limanowskim. Drugi zaś syn, **Wincenty Gawron** uzdolniony artystycznie ukończył Akademię Sztuk Pięknych i zasłynął jako artysta w Polsce, Kanadzie i USA. Początkowo wykonywał sztandary dla kół Stronnictw Ludowych, później, na przełomie 1939 i 1940 roku zaprojektował witraże dla limanowskiego kościoła: *Polonia redi-viva – Opatrzności Bożej* oraz *Siewcę – Matkę Bożą Siewną*. Malował również obrazy olejne: *Ksiądz Łazarski prowadzi do Boga*, *Chłop potęgą jest i basta*, *Katyń* i wiele innych. Wykonywał rysunki dokumentujące stroje ludowe i sceny z życia mieszkańców Limanowej oraz serię pt. *Polska droga krzyżowa*.

W okresie okupacji więziony był w obozie Auschwitz, z którego udało mu się zbiec. Jest autorem wielu prac o tematyce obozowej. Zmarł w 1991 roku i jest pochowany w kwaterze wojskowej cmentarza parafialnego w Limanowej.

Najwięcej obowiązków miał Jan Gawron w czasie I wojny światowej. Zaczęło się to już jesienią 1914 roku. Pożoga wojenna zbliżała się milowymi krokami w kierunku Limanowej. Austria gromadziła ogromne ilości oręża i wojska,



Jan Gawron, długoletni wójt starowiejski, pisarz, działacz ruchu ludowego. Fot. z arch. rodziny Gawronów.



Walenty Gawron, pamiętnikarz, etnograf - amator, długoletni sekretarz SL. Fot. z arch. rodziny Gawronów.

w którym służyli przedstawiciele wszystkich podbitych narodów, w tym wielu Polaków. Dowództwo austriackie przygotowało się do starcia z armią rosyjską. Był grudzień 1914 roku. Pod Jabłoncem znalazło się wojsko, które wójt musiał rozlokować i wyznaczyć im kwatery. W domu samego wójta Gawrona znalazło nocleg 22 żołnierzy, wśród nich przyszły zięć pochodzący z Sokolnik koło Lwowa. Potem doszło do jednej z największych bitew w czasie I wojny

światowej o wzgórze Jabłoniec. Walki pomiędzy armią rosyjską i austriacką trwały od 8 do 12 grudnia 1914 roku. Przełom w zmaganiach przyniósł szturm węgierskich honwedów. Poległy dziesiątki żołnierzy obu armii. Front się załamał, Rosjanie wycofali się pod Gorlice. Z rozkazu wojskowego dowództwa grzebaniem poległych zajął się Gawron z pomocą okolicznych chłopów i jeńców rosyjskich. Jan Gawron do końca wojny znosił różne ciężary związane z dodatkowymi zadaniami nałożonymi przez zaborcę. Jan pracował do końca kadencji i zrezygnował z pełnienia funkcji. Pisał jeszcze artykuły do prasy, występując w obronie ludu. Pomagał mu w tym syn Walenty Gawron – ówczesny sekretarz Powiatowego Zarządu Stronnictwa Ludowego, znany już działacz i pisarz.

Walenty Gawron (1891-1977) jest autorem wielu publikacji, z których najbardziej znaną jest książka zatytułowana „Wspomnienia z Limanowszczyzny” – dokument dziejów kształtowania postawy ludzkiej w służbie interesów chłopów, swobód politycznych oraz obrony godności obywatelskiej. Przedstawia życie autora na tle przemian społecznych w okresie ponad półwiecza. „Wspomnienia z Limanowszczyzny” wzbogacają wiedzę o życiu prostych ludzi i ich walce o swe prawa. Walenty Gawron w swej twórczości ukazał również klęski, jakie spadały na mieszkańców wsi, głody i pomory dziesiątkujące co pewien czas ludność, a także rządy poszczególnych dziedziców limanowskich i ich stosunki do chłopów. Pisarz wykazuje wszechstronne zainteresowanie regionem, z którego pochodzi. Twórczość rozpoczęła od artykułów pisanych do „Gazety Ludowej” i „Piasta”. Materiały do artykułów czerpał z obserwacji życia wsi, z dyskusji, jakie odbywały się u wójta, a także z licznych wypraw na jarmarki do Limanowej i pobliskich okolic.

Interesującym opracowaniem Walentego Gawrona są wspomnienia z okresu okupacji, w których przedstawia, jak armia hitlerowska wkraczała na teren powiatu limanowskiego we wrześniu 1939 roku, opisuje cały okres okupacji hitlerowskiej na Limanowszczyźnie oraz zagładę Żydów limanowskich w 1942 roku. Przy opracowaniu wspomnień autor wykorzystał opowiadania bezpośrednich świadków. Opowiadania te oddają atmosferę tamtych lat i zawierają komentarz oceniający wypadki i ludzi.

Drugą Jego pasją była działalność społeczna. Organizował Związek Chłopski i Stronnictwo Chłopskie. W 1924 roku został wybrany członkiem Tymczasowej Rady Naczelnej Związku Chłopskiego. Był radnym w gminie Limanowa – Stara Wieś, kasjerem Kasy Stefczyka i Kasy Bezprocentowej na powiat limanowski, sekretarzem Zarządu Powiatowego Stronnictwa Ludowego w Limanowej w latach 1931 - 1939, a także członkiem Rady Nadzorczej Spółdzielni Rolniczo – Handlowej „Kosa”. Reaktywował w 1921 r. Teatr i Chór Włociański. W latach trzydziestych współorganizował wraz z Józef Mamakiem manifestacje ludowców oraz strajki chłopów. Podczas okupacji należał do konspiracyjnego Związku Czynu Zbrojnego, potem BCh. Po II wojnie światowej pełnił wiele funkcji społecznych. Kiedy rozwiązano PSL, już do innej partii nie wstąpił. Z tego powodu w 1947 r. pozbawiono go wszystkich funkcji. Od 1951 r. poświęcił się pracy etnograficznej, zajmował się badaniami nad regionem zagórzańskim i Lachów limanowskich.

Ważnymi postaciami dla rozwoju Limanowej byli burmistrzowie miasta w okresie międzywojennym, **Marceli Bursztyn i Tomasz Bieda** oraz zaraz po II wojnie światowej **Leopold Winter**.

Zarówno Marceli Bursztyn jak i Tomasz Bieda byli kupcami i prowadzili własną działalność handlową. Marceli Bursztyn posiadał restaurację „Ziemiańska” w podcieniach po stronie północnej limanowskiego rynku. W restauracji tej częstym gościem był „piewca Podhala” Władysław Orkan.

Marceli Bursztyn w latach dwudziestych XX wieku pełnił funkcję prezesa limanowskiego gniazda „Sokoła”. W okresie tym zostały zorganizowane sekcje piłki nożnej (załączek późniejszego pierwszego w mieście klubu piłki nożnej) i lekkiej atletyki. Przewodniczył powołanemu w roku 1925 Komitetowi Budowy Szkoły, której lokalizację zaproponował w ogrodzie miejskim (dziś jest to popularna „jedyńka”).

Tomasz Bieda - w 1905 roku wyruszył do Ameryki, by przez 8 lat pracy w fabryce fortepianów zdobyć środki do życia. Do Limanowej powrócił w 1913 roku i w rynku wybudował kamienicę, w której otworzył sklep z towarami spożywczymi i restaurację. Kiedy w Limanowej powołano autonomiczny Oddział Terenowy Krakowskiej

Kongregacji Kupieckiej założony 31 stycznia 1937 roku wchodzi w skład Zarządu i zostaje pierwszym prezesem tej organizacji. Funkcję tę piastuje do czasu rozwiązania Kongregacji pod koniec lat 40 - tych XX wieku. Burmistrzem Limanowej zostaje w 1934 roku. Za jego kadencji, w latach 1937 - 1938, zostaje wybudowany pierwszy wodociąg w mieście, który zasilany jest z ujęć źródeł na Łysej Górze. Przenosi z rynku tradycyjne jarmarki na plac targowy, co pozwala na uporządkowanie i modernizację rynku – głównego placu miasta.

Przewodniczył Gminnej Komisji Turystycznej i Powiatowej Komisji Letniskowej, propagując walory terenu Limanowszczyzny jako tereny letniskowo - turystyczne. W okresie okupacji w jego kamienicy odbywało się tajne nauczanie pod kierunkiem Jana Kalisza. Przez krótki okres po II wojnie jest jeszcze burmistrzem i radnym MRN. W roku 1946 zostaje odebrany mu sklep i restauracja z przeznaczeniem na stołówkę PUBP. Podejmuje wówczas pracę jako robotnik w Spółdzielni Owocarskiej, a następnie w Urzędzie Stanu Cywilnego, gdzie pracuje do emerytury. Po przejściu na emeryturę wyjeżdża do syna Romana do Krakowa. Umiera w 1964 roku w Krakowie i zostaje pochowany na cmentarzu na Salwatorze.

Pisząc o dziejach Limanowej, nie sposób pominąć społeczność żydowską, która stanowiła przez dziesiątki lat znaczącą liczbę mieszkańców miasta. Jednym z nielicznych, który opisywał życie limanowskich Żydów oraz ich zagładę był Walenty Gawron. Można również o historii tej społeczności Limanowej dowiedzieć się wiele z artykułów, które ukazały się w „Echu Limanowskim”, m. in. 70. rocznica ostatecznej likwidacji Żydów limanowskich – droga do obozu Zagłady w Bełżcu („EL” nr 214-215, 2012 r.).

Po tzw. „wyzwoleniu” 19 stycznia 1945 roku w Limanowej szybko ujawniły się konspiracyjne struktury władzy zorganizowane jeszcze za czasów okupacji. Starostą został mianowany Pełnomocnik Rządu Londyńskiego – dr Adam Mamak. Mianował on wójtów i burmistrzów – wójtem gminy Limanowa został Walenty Gawron (stanowiska nie objął), a burmistrzem miasta Tomasz Bieda, pełniący tę funkcję w okresie międzywojennym, zaś komendantem posterunku w mieście był plutonowy Stanisław Halota.

W mieście pojawił się oddział NKWD. Usadowili się w budynku należącym wówczas do parafii, stojącym przy ulicy Krakowskiej. Zaczęły obowiązywać nowe porządki, które później określano „czasami stalinowskimi”. Limanowa była zniszczona zarówno podczas wojny, jej wyzwolenia oraz na początku lat czterdziestych ubiegłego stulecia. Prawie połowa zabudowy rynku została zniszczona. Zatem najpoważniejszym zadaniem, jakie stanęło przed władzami, zarówno miasta, jak i powiatu, była nie tylko odbudowa, ale również przebudowa limanowskiego rynku. Zanim to nastąpiło w historii miasta był okres przejściowy, w którym musiano uporać się z podstawowymi potrzebami jej mieszkańców. Jeszcze na początku lat czterdziestych XX wieku powołano na stanowiska zarówno w mieście jak i w powiecie ludzi zaufania publicznego - burmistrzem został Leopold Winter, a starostą Zbigniew Fleszar. Po zjednoczeniu partii: PPS i PPR zostają usunięci ze stanowisk jako „element niepewny”.

Leopold Winter (1880 - 1969) - jego działalność społeczna po II wojnie światowej była bardzo bogata. W pamięci limanowian pozostał jako wieloletni pracownik sądu. Jako sekretarz Sądu Grodzkiego w Limanowej uczy prawoznawstwa w Dokszałcającej Szkole Zawodowej w Limanowej. Po II wojnie światowej przystępuje do aktywnej pracy. Zostaje członkiem Powiatowej Komisji Odbudowy, której zadaniem było rejestrowanie szkód po wojennych w powiecie limanowskim. Po powołaniu Miejskiego Komitetu Opieki Społecznej staje na jego czele. Zadaniem MKOS było niesienie pomocy przez zorganizowanie kuchni, w której prowadzono bezpłatne żywienie oraz dożywianie, dokonywano przydziału odzieży, opału, rozdzielano paczki z darów organizacji UNRR-y. Leopold Winter był szczególnie wrażliwy na biedę dzieci, włączał się więc w organizowanie dla nich pomocy. Nadzorował sekcję kulturalno – oświatową świetlicy dziecięcej, którą prowadzili Stefania i Marian Borzemscy. Wspierał ich radą oraz pomocą w pozyskiwaniu środków finansowych na jej działalność. 22 kwietnia 1945 roku zostaje wybrany burmistrzem Limanowej w miejsce Tomasza Biedy. Po wyborze na burmistrza zostaje delegatem do PRN, a w czerwcu radnym MRN w Limanowej.



Marcel Bursztyn, kupiec, burmistrz Limanowej w latach dwudziestych ubiegłego stulecia.



Tomasz Bieda, kupiec, ostatni burmistrz w okresie II Rzeczypospolitej.



Leopold Winter, sekretarz Sądu Grodzkiego, burmistrz Limanowej w latach 40. XX wieku.

W tych trudnych powojennych latach Zarząd Miasta wraz z burmistrzem musiał stawić czoła codziennym problemom życia związanym z funkcjonowaniem miasta. Oprócz rozwiązywania bieżących spraw mieszkańców Limanowej, Leopold Winter inspirował w szerokim zakresie działalność kulturalną. Uczestniczył w pracy Towarzystwa Ludoznawczego, prowadząc odczyty. Będąc członkiem Towarzystwa Życia Kulturalnego, propaguje imprezy kulturalne w mieście i powiecie przez organizowanie imprez teatralnych, akademii. Należy do zwolenników dynamicznego rozwoju oświaty, wspiera wszystkie działania, które do tego prowadzą, m. in. w 1947 roku zostaje otwarta Powiatowa Biblioteka przy ulicy Orkana.

W lutym 1949 roku zostaje usunięty ze stanowiska burmistrza miasta jako „element niepewny”. Powraca do pracy w sądzie, gdzie pracuje do czasu przejścia na emeryturę.

Umiera, mając 89 lat i zostaje pochowany na cmentarzu parafialnym w Limanowej.

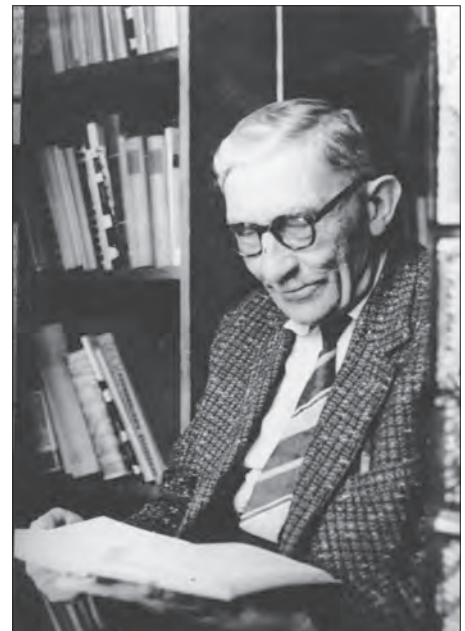
Można o nim przeczytać w „Echu Limanowskim” w artykule *Trwał do końca na posterunku* („EL” nr 202-203, 2011 r.)

Znaczący wpływ na rozwój Limanowej miała rafineria nafty w Sowlinach. Do jej budowy przystąpiono na posiadłości Kazimierza Marsa w roku 1907. Rafineria ta w 1909 r. została całkowicie wykończona i uruchomiona. Jej długoletnim pracownikiem, głównym technologiem produkcji oraz dyrektorem był inż. **Józef Florian**. Od 1924 r. był technicznym kierownikiem ruchu, a po ograniczeniu produkcji w 1934 roku kierownikiem zakładu. Po II wojnie światowej, zostaje kierownikiem rafinerii i fabryki beczek, później do 1952 roku kierownikiem składu paliw CPN w Limanowej. Od 1952 r. do przejścia na emeryturę pracuje na stanowisku laboranta kontrolnego CPN. Pełnił liczne funkcje społeczne i samorządowe, szczególnie wspierał tworzące się średnie szkolnictwo po II wojnie światowej w Sowlinach, dzielnicy Limanowej.

Staraniem ówczesnego dyrektora szkoły **Antoniego Biedy**, inż. Józef Florian przekazuje dwie rafineryjne kamienice, które po przeprowadzonym remoncie oraz dostosowaniu ich do potrzeb szkolnictwa (wcześniej utworzona szkoła średnia w lutym 1945 roku mieściła się w Szkole Powszechnej w Limanowej)

stają się: - jedna głównym budynkiem pierwszej szkoły średniej w Limanowej, a druga - internatem dla młodzieży z powiatu limanowskiego. W efekcie przeprowadzonego remontu uzyskano: 25 sal lekcyjnych, salę gimnastyczną, pomieszczenia administracyjne. W tych budynkach w czerwcu 1945 roku równoległe z działalnością Miejskiego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego rozpoczyna pracę Państwowe Liceum Pedagogiczne. W wyniku zmian w strukturze polskiego szkolnictwa gimnazja przestały działać. Ostatecznie w 1949 roku wydano decyzję o powołaniu w Limanowej dwóch szkół: Państwowej Szkoły Ogólnokształcącej Stopnia Licealnego, kierowanej przez **Szczepana Gajewskiego** i Państwowego Liceum Pedagogicznego, którego dyrektorem został **Antoni Bieda**. Nauka w tych dwóch szkołach odbywała się w tym samym budynku w Sowlinach do 1963 roku, do czasu wybudowania nowego budynku liceum. Na ten temat napisano wiele artykułów, jednym z nich jest artykuł: *Z kart historii. Początki szkolnictwa średniego w Limanowej*. („EL” nr 204-205, 2011 r.)

Zainteresowanie dawną Limanową pojawiało się zawsze. Najlepszym tego dowodem są ślady pozostawione przez limanowskich malarzy: **Tadeusza Ociepki**, **Franciszka Mrażeka** i **Maksymiliana Brożka**, dla których stara fotografia była źródłem inspiracji. Prace plastyczne ich pędzla ukazują piękno naszego miasta. Dzięki nim możemy przenieść się w świat Limanowej z początku XX wieku, okresu międzywojennego i lat powojennych. Udało im się na swoich obrazach zatrzymać czas. Posługując się starą fotografią, malowali ekspresyjnie sceny rodzajowe z codziennego życia mieszkańców Limanowej, pokazali stary rynek, romantyczne ulice i zaułki, dawne domy żydowskie, kapliczki przydrożne, spośród których najchętniej malowali Kaplicę Łaski przy dworze w Mordarce, gdzie rozpoczął się kult limanowskiej Piety. Ten rodzaj twórczości ma podwójny wymiar wartości. Po pierwsze możemy oglądać gustowne prace ukazujące Limanową w pięknych barwach, po drugie zachowały się cenne archiwalne fotografie w rodzinnych zbiorach malarzy, które zostały umieszczone w albumach „Okruchy pamięci”, a wcześniej posłużyły limanowskim malarzom jako motywy dla ich twórczości.



Stanisław Ceglarski, organizator tajnego nauczania w czasie okupacji hitlerowskiej.



Antoni Bieda, dyrektor pierwszych średnich szkół w Limanowej.



Tadeusz Ociepka, malarz, wieloletni dyrektor Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych w Limanowej.

W latach 60. XX wieku Limanowa stopniowo zaczyna rozwijać się w nowoczesne miasto. Przypada to na okres, kiedy funkcję naczelnika miasta pełni **Jan Kubowicz (1926 - 2011)**, który rozpoczął przekształcanie zaniedbanego galicyjskiego miasteczka w dynamicznie rozwijający się nowoczesny ośrodek. Pod jego rządami Limanowa osiągnęła największe sukcesy w swoim rozwoju. Wspierał wiele ważnych dla miasta inwestycji. W 1969 roku stanął na czele Społecznego Komitetu Przebudowy Rynku w Limanowej (1970 - 1972); był wśród działaczy, którzy przyczynili się do wykreowania miasta i powiatu na ważny ośrodek turystyczny. W 1973 roku został przewodniczącym Społecznego Komitetu ds. Gazyfikacji Miasta Limanowa, doprowadzając gaz ziemny do gospodarstw domowych w mieście i przyległych miejscowościach. Sprzyjał powstaniu nowoczesnego Szpitala Powiatowego, Domu Kultury, dworca i zajezdni PKS, wodociągów miejskich, kanalizacji sanitarnej wraz z oczyszczalnią, budownictwa wielorodzinnego, złołka miejskiego, wybudowaniu ulicy Kopernika. Przez dwadzieścia lat był w sprawczej czołówce wielkiej przygody Limanowej w konkursach Mistrzów Gospodarności oraz telewizyjnym turnieju „Bank Miast 440”, który Limanową wypromował na skalę ogólnopolską. Honorowy Obywatel Limanowej. O Janie Kubowiczu można przeczytać w artykułach: *Szacunek za dokonania w przeszłości* („EL” 186-187, 2010 r.) oraz *Żył dla Limanowej* („EL” 196-197, 2011r.)

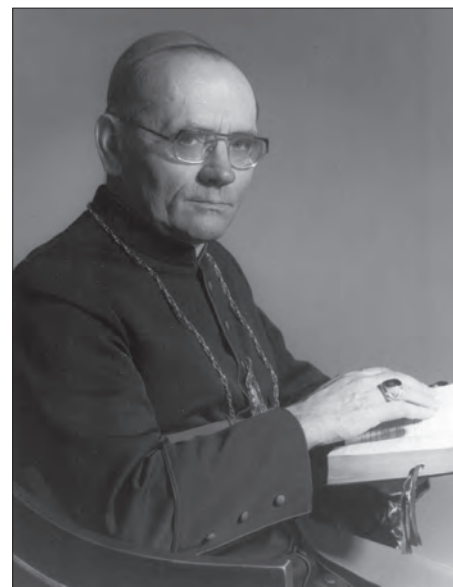
Jedną z niezwykłych postaci, które rozślały Limanową jest ks. bp **Piotr Longin Bednarczyk (1914 - 2001)** - wyjątkowo zasłużony dla miasta, a szczególnie dla limanowskiego Sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej. Honorowy Obywatel Limanowej. To on w decydujący sposób przyczynił się do koronacji limanowskiej Piety w 1966 r. i rekoronacji przez Jana Pawła II w 1983 r. oraz podniesienia limanowskiej świątyni do godności Bazyliki Mniejszej w 1991r. Przyjął przed limanowską bazyliką od Ojca św. Jana Pawła II przejeżdżającego przez Limanową w drodze do Starego Sącza błogosławieństwo dla nowo wybudowanego Krzyża Jubileuszowego na Miejskiej Górze. Po odjeździe papieża pojechał pod krzyż, aby osobiście „przenieść tam to papieskie poświęcenie”. Napisało o nim wiele artykułów, m. in.



Jan Kubowicz, wieloletni naczelnik miasta i gminy Limanowa.

w artykule *Po dziesięciu latach* („EL” nr 204-205, 2011 r.) wspomina biskupa limanowskiego Józef Szymon Wroński.

Ten z konieczności krótki i zapewne niepełny rys limanowskich postaci kończę słowami ze wstępu albumu fotograficznego „Okруchy pamięci – Limanowa na starej fotografii”, który ukazuje klimat miasteczka z czasów belle epoque, radosny nastrój lat dwudziestych i trzydziestych oraz jego rozwój do lat siedemdziesiątych XX wieku: (...) *Jakież bujne tu kwitło życie, jakże wspaniałych można było tu spotkać ludzi, jakże barwne pisały się tu życiorysy, jakże pasjonujące zdarzały się tu historie* (...).



Ks. biskup Piotr Longin Bednarczyk.



Panorama Limanowej.

O początkach parafii Limanowa - analekta

Z archiwum Jana Wielka

W wydanym przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk „Słowniku Historyczno-Geograficznym Województwa Krakowskiego w Średniowieczu” (cz. II, z.1) znajdują się trzy hasła: Ilmanowa Nowa (związane z dzisiejszym miastem Limanowa), Ilmanowa Stara (dotyczy Starej Wsi) oraz limanowska Rzeka (najdawniejsze zapiski o potoku, zwanym dzisiaj „Starowiejskim”). Autorzy tych haseł na podstawie drobiazgowej kwerendy archiwalnej i analizy opracowań historycznych, porządkują dotychczasowy stan wiedzy na temat początków Ilmanowej i Starej Wsi. Znajdujemy tam również istotne i ciekawe informacje dotyczące powstania parafii limanowskiej.

Otóż w znajdującym się w Archiwum Kapituły Krakowskiej „Regestrum contributionis per unum fertorem a marca argentia ad clerum a.D.1513”, na karcie 34, znajduje się wpis mówiący, iż w tymże 1513r. wikary z Ilmanowy (tak zapisana jest wtedy nazwa dzisiejszego miasta) wywiązał się z należnych dla krakowskiej kapituły opłat. Zapiska ta umieszczona jest pomiędzy dotyczącymi parafii: Łososina (Górna) i Rybie, należącymi wówczas do dekanatu dobczyckiego, innym atramentem i mniejszymi literami, niż nagłówki tych parafii. Nie podano wysokości opłat; autorzy hasła „Ilmanowa” i umieszczonych przy nim przypisów sugerują, iż takie usytuowanie Ilmanowej w cytowanej księdze wskazuje na jej podległość w stosunku do parafii w Łososinie, która istniała już w 1326 r.

Twierdzenie to w pewien sposób popiera ówczesny stan własności ziemskiej - Ilmanowa należy do Słupskich ze Słupki k. Szczyrzyca, również wtedy dziedziców Łososiny Górnej. Większość dóbr tego rodu rycerskiego leżała w granicach dekanatu dobczyckiego. Zauważmy, że w zapisce dotyczącej Ilmanowej nie występuje samodzielny proboszcz, lecz wikary, który mógł być podległym plebanowi łososińskiemu. Fakt ten wyraźnie potwierdza zapiska sądowa z 1527 roku. Wtedy to ówczesny właściciel Ilmanowej - Achacy Jordan herbu Trąby na proboszcza limanowskiego prezentuje ks. Jana z Olkusza - poprzednio wikariusza w Drogim. Prezentowany proboszcz



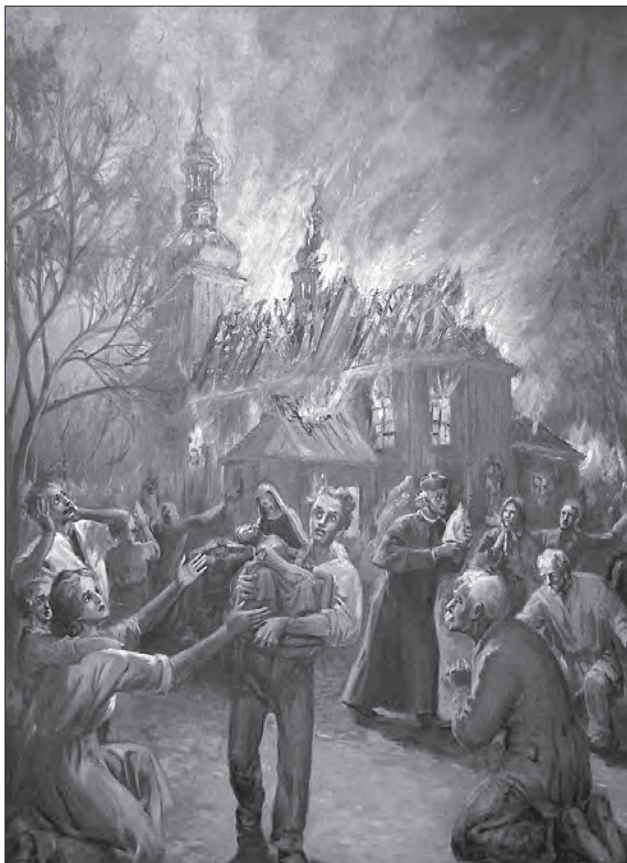
Chrzcielnica z 1527 roku, z pierwszego limanowskiego kościoła.

Fot. Stanisław Ociepka

procesuje się z Feliksem z Rajbrotu - plebanem w Łososinie (Górnej) i Ilmanowej, który twierdzi, iż kościół w Ilmanowej jest filialny w stosunku do kościoła łososińskiego i Ilmanowa wchodzi w skład parafii łososińskiej. W imieniu kandydata na proboszcza limanowskiego występuje „prokurator” Wawrzyniec z Wolbromia. Proboszcz łososiński przed sąd się nie stawił i nie udowodnił swych racji, przeto w obecności reprezentującego go Szymona z Kalisza, nakazano ks. Janowi z Olkusza przedłożyć dokument na poparcie swych

pretensji do probostwa w Ilmanowej przeciw podległości kościoła ilmanowskiego - łososińskiemu.

Spór musiał rozstrzygnąć się na korzyść proboszcza ilmanowskiego i popierającego go dziedzica - Achacego Jordana, bowiem w 1529 roku od samodzielnej już parafii ilmanowskiej płacona jest dziesięcina na rzecz biskupa krakowskiego, której wartość oszacowano na 10 grzywien. Zaś ówczesny pleban ilmanowski - Bartłomiej; - ma w uposażeniu meszne, ►



Pożar pierwszego, drewnianego kościoła w Limanowej w 1769 roku. Obraz Cz. Lenczowskiego.



Święty Walenty - obraz pochodzący z dawnego, drewnianego kościoła. Do lat sześćdziesiątych XX wieku znajdował się w kościele w Paszynie k. Nowego Sącza.

► wynoszące: od Ilmanowej 10 korcy miary sądeckiej (wartość 40 groszy), z Sowlin 2 miary owsa wartości 8 gr, z Mordarki 2 korce owsa i 2 korce pszenicy wartości 24 gr, z Lipowego 2 korce owsa wartości 2 gr. Otrzymuje również tzw. „mensalia”: 3 grzywny z Ilmanowej, 8 gr z Sowlin, 4 gr z Woli (Jabłońca), 2 gr z Lipowego. Pobiera również dziesięcinę snopową należną mu z folwarku ilmanowskiego, wartości 3 grzywien oraz dziesięcinę pieniężną z ról należących do sołectwa w Sowlinach oszacowaną na wartość 8 gr razem 5 grzywien i 20 groszy.

W świetle powyższych faktów zupełnie inaczej niż przyjmowali dotychczasowi badacze, przedstawia się sprawa fundacji pierwszego ilmanowskiego kościoła, przypisywana dotychczas Achacemu Jordanowi, który miał to uczynić w 1527 roku. Pierwszą ilmanowską świątynię wzniesli na pewno Słupscy ze Słupi, pierwsi historycznie udokumentowani właściciele tej miejscowości. Achacemu Jordanowi przypisać należy jedynie usamodzielnienie parafii ilmanowskiej od łososińskiej, której pierwotnie podlegała.

W 1535 r. Achacy Jordan, jako patron i kolator kościoła ilmanowskiego, wyraża zgodę na inkorporację parafii Ilmanowa do konwentu „Marków”,

mającego swe klasztory przy kościele św. Marka w Krakowie (stąd ich popularna nazwa) i w Trzcianie k. Bochni, zachowując dla siebie i swoich potomków prawo patronatu. Według ustaleń prepozyt klasztoru w Trzcianie i przeor od św. Marka w Krakowie mieli wybierać spośród swoich konfratrów jednego na proboszcza ilmanowskiego, przedstawiając go do aprobaty dziedzicowi.

Prawdopodobnie pamiątką po „Markach” w limanowskim kościele do dnia dzisiejszego jest drewniana, gotycka chrzcielnica, bardzo podobna w kształcie i zdobniczych detalach do stojącej w kościele parafialnym w Trzcianie. Ta zaś druga ma pochodzić ze świątyni należącej niegdyś do zniszczonego przez Szwedów klasztoru „Marków”. Na limanowskiej jest co prawda wyryta data „1527”, ale przecież mogła być wykonana wcześniej i przywieziona do Limanowej przez pierwszego proboszcza z tego zgromadzenia - o. Bartłomieja z Opatowa.

W 1558r. nastąpiła konsekracja ilmanowskiego Kościoła, który nosił wówczas długie wezwanie - śś. Apostołów, Walentego, Mikołaja, Zofii, Laurencji, Krzysztofa i Cecylii. Po śś. Apostołach, jako pierwszy w kolejności wymieniony jest św. Walenty, który później w pierwszej

połowie XVII w. stał się samodzielnym patronem parafii i zarazem miasta. Wśród patronów pierwszego kościoła limanowskiego występuje również św. Mikołaj. W źródłach zaś pochodzących z lat 1511 - 28 jako dziedzic Ilmanowej występuje Mikołaj Słupski herbu Drużyna, syn Piotra i Małgorzaty. Być może on był fundatorem pierwszego limanowskiego kościółka i uhonorował swego patrona, poświęcając m.in. jego imieniu fundowaną przez siebie świątynię. Była to wtedy praktyka bardzo często stosowana.

Pierwszy kościół limanowski stał mniej więcej w tym samym miejscu, co i współczesny. Zbudowany był oczywiście z drewna, w kształcie krzyża, z wieżą od strony zachodniej. Wokół niego - ówczesnym zwyczajem rozciągał się cmentarz grzebalny, dość obszerny ogrodzony płotem. W sąsiedztwie świątyni stała szkoła wzmiankowana po raz pierwszy w 1595 roku oraz szpital, czyli przytułek dla ubogich, fundowany w 1574 r. przez Annę Jordanowa, żonę Stanisława Jordana, założyciela miasta Limanowa.

PS: *Materiał ten opatrzony był obszernymi przypisami.*

Dlaczego Ferdynand Stanisław Piwowar

Stanisław M. Jankowski

zasłużył na najwyższy wymiar kary?

W sierpniu 1930 roku władze wojskowe RP zainteresowały się moralnością Ferdynanda Stanisława Piwowara, syna Józefa, urodzonego w 1905 w Męcynie w powiecie limanowskim.

„O ile wyżej wymieniony – czytał limanowski starosta 20 sierpnia 1930 roku - nie był sądownie ani administracyjnie karany jako też pod względem politycznym zachowuje się jako obywatel polski bez zarzutu proszę o krótką notatkę na odwrocie mego pisma: niekarany, o ile jednak wymieniony w piśmie był karany sądownie, administracyjnie lub pod względem politycznym jako lojalny obywatel polski budzi wątpliwości, proszę o podanie wymiaru kary i przestępstwa, za które nastąpiła kara, względnie podanie faktów, które go kwalifikują jako obywatela nielojalnego, również taką adnotację proszę umieścić na odwrocie niniejszego pisma.

Ze względu na pilność sprawy proszę o jej możliwie szybkie załatwienie - tym zdaniem ponaglał starostę w Limanowej major Władysław Czuma, zastępca dowódcy stacjonującego w Katowicach 73. pułku piechoty Wojska Polskiego.

Poglądy muszą być „jedynie słuszne”

Czas odpowiedzieć na pytanie o zainteresowanie Armii cywilnym życiorysem nauczyciela z Męciny. Gdyby Piwowar był zawodowym oficerem i zamierzał wziąć ślub, to musiałby dysponować nie tylko pisemnym zezwoleniem przełożonych. Żądano by od niego „świadczenia moralności”, sygnowanego podpisem proboszcza swojej parafii lub przygotowanego przez policję.

Zdecydowanych stanąć na przysłowiowym „ślubnym kobiercu” sprawdzano pod względem moralności i... zasobów materialnych. Nie zapomniano o skontrolowaniu kandydatki na pannę młodą. Nie wysyłano jej do ginekologa z pytaniem o dziewictwo. Nie miała natomiast szans wydać się za oficera niewiasta karana sądownie czy panna o nieuregulowanym statusie materialnym, (czytaj: biedna jak przysłowiowa mysz kościelna) czy artystka: piosenkarka, malarka. „Nie zgadzam się” pisano na podaniach o ślub z panną innej wiary niż rzymskokatolicka czy z panią bez rozwodu potwierdzonego w Rzymie.

Plutonowy podchorąży Piwowar nie planował ślubu.

W dowództwie 73. pp w Katowicach przygotowywano wniosek mianowania go podporucznikiem rezerwy. Armia nie zamierzała jednak powiększać korpusu oficerskiego o obywatela karanego sądownie czy – co było nie mniej ważne - posiadającego w życiorysie „fakty kwalifikujące nauczyciela jako obywatela nielojalnego”. Czy zmieniając stylistykę „dyskwalifikujące go jako obywatela lojalnego”. No i – czego wyraźnie nie pisano, ale „nie daj Boże” – zarażonego najmniejszym nawet kontaktem z komunistami czy osobami tylko podejrzanymi o myślenie inne od jedynie słusznego i politycznie akceptowanego.



Ferdynand Stanisław Piwowar.

Jeździł na rowerze, grał na skrzypcach

Na pytanie o poglądy nauczyciela z Męciny odpowiedź limanowskiego starosty była pozytywna. 4 grudnia 1930 dowództwo 73. pp wysłało więc wniosek nominacyjny dla plut. pchor. rez. Piwowara dysponującego „bardzo dużymi zaletami osobistymi, dobrze rozwiniętego fizycznie, inteligentnego, pod względem służbowym i poza służbowym bardzo dobrego”. Od 1 września 1930 (licząc ze starszeństwem) mógł Ferdynand Piwowar pochwalić się stopniem wojskowym podporucznika rezerwy... Ze znajomością – jak przeczytać będzie można w jednej z „list kwalifikacyjnych” - języków polskiego oraz niemieckiego, w mowie i piśmie, a także jazdy na nartach, turystyki górskiej i jazdy na rowerze...

Od umiejętności kręcenia pedałami roweru bardziej ceniono świadectwo maturalne. Absolwent nowosądeckiego gimnazjum ▶

► w 1919 roku został uczniem Państwowego Gimnazjum Nauczycielskiego męskiego w Krakowie. Nie wiercie podanej w Internecie informacji o ukończeniu przez niego Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Starym Sączu. W latach 1919 – 1925 kształcił się w Państwowym Seminarium Nauczycielskim męskim w Krakowie.

Ze świadectwa dojrzałości można się dowiedzieć o decyzji komisji egzaminacyjnej, uznającej absolwenta Ferdynanda Stanisława Piwowara za uprawnionego do „pełnienia obowiązków tymczasowego nauczyciela w szkołach podstawowych.” 26 maja 1925 napisano o bardzo dobrym jego zachowaniu oraz o ocenach dostatecznych: z języka polskiego, matematyki, geografii z kosmografią, historii, fizyki, chemii i mineralogii. Na czwórkę, czyli „dobrze”, zdał religię, pedagogikę, język niemiecki, biologię, roboty ręczne oraz zaliczył ćwiczenia cielesne; ten przedmiot nazywamy obecnie „wychowaniem fizycznym”.

Na świadectwie dojrzałości Ferdynanda Piwowara znalazły się także oceny „bardzo dobre” z przedmiotów: „nauka o Polsce współczesnej”, „praktyka pedagogiczna” „higiena”, „muzyka i śpiew” oraz „gra na skrzypcach”.

Fizycznie rozwinięty i silny

Wojskowy życiorys Ferdynanda Piwowara zaczyna się 13 października 1926 w 48. pp piechoty. Jest jednym z tysiąca poborowych, którzy rokrocznie w tym pułku poznają wojskowe abecadło. Awans na starszego strzelca w kwietniu 1927, na kaprała w styczniu 1928, a tytularnym plutonowym podchorążym zostaje w kwietniu 1928. Jakim był żołnierzem a następnie podoficerem?



Ferdynand Piwowar z żoną Stanisławą w Zakopanem, ok. 1935 roku.

– niech odpowiedzą opiniujący Piwowara przełożeni: *Na służbie i poza służbą zachowywał się wzorowo*, co włączono pod opinię „bardzo wartościowego”. Słowami „bardzo duże” oceniano poczucie honoru i godności osobistej, odwagę, ideowość w pojmowaniu służby w racji narodowej, wyrobienie charakteru, siłę woli, gotowość poniesienia odpowiedzialności za innych, lojalność służbową, szczerłość, poczucie obywatelskie, takt i opanowanie w stosunku do społeczeństwa cywilnego, ambicję pracy i ambicję osobistą, obowiązkowość i pilność, obycie towarzyskie, orientowanie się w nowej sytuacji, cierpliwość i wytrzymałość fizyczną.

„Fizycznie rozwinięty i silny” - wpisał dowódca 2. kompanii por. Kazimierz Ring, a potwierdził dowodzący 73. pułkiem ppłk dypl. Tadeusz Różycki.

Za „bardzo dużą” uznano samodzielność, inicjatywę, zimną krew, stanowczość, zdolność natchnienia podwładnych do wyrobienia posłuchu i gorliwości. Stopień „dobry”, czyli tylko „czwórkę” uzyskał spryt, dokładność i łatwość uczenia się, zmysł wychowawczy Ferdynanda Piwowara, zdolność podchwytowania myśli obcych, zdolność wydawania jasnych i rozumnych rozkazów, zmysł wychowawczy i organizacyjny, umiejętność osiągnięcia zamierzeń, przystępnego i zwięzłego wykładania.

„Czwórka” z intuicji wychowawczej

Opinia z 1930 roku nie byłaby jednak pełna, gdybyśmy nie zauważyli i nie ujawnili stopnia „dostatecznego” za umiejętność dostosowania się do poziomu intelektualnego uczniów i intuicji wychowawczej. I komentarza „jako wychowawca posiada on pewne braki” oraz „pod względem organizacyjnym nie wyróżnia się”.

Z rubryki „cechy indywidualne” dowiedzieć można się o zrównoważonym charakterze, punktualności, lojalności w stosunku do przełożonych, zdyscyplinowaniu i koleżeńskości, ale są też dwa krytyczne słowa „mało pilny”. Zdolności ogólne i zawodowe przełożeni ocenili „jako dowódca mało jeszcze pewny siebie i dość ciężko orientuje się w nowej sytuacji bojowej”. Osiągnięte wyniki w służbie podsumowano bardziej optymistycznie, uznając plutonowego Piwowara jako dowódcę kompanii „okazującego dość dużo chęci i osiągającego wyniki dodatnie”. Spodziewano się „nabycia praktyki w pułku, a wówczas – liczyli przełożeni – będzie się nadawał na dowódcę kompanii c. k. m w czasie wojny”.

Kontrolowana szczerłość starszego dozorca

Datę śmierci jeńca Armii Czerwonej ppor. Ferdynanda Piwowara moglibyśmy poznać z „list transportowych” ze Starobielska do Charkowa. Mam swoje zdanie o informacji, potwierdzającej ich „zniszczenie”. Poznałem posowieckie archiwa, pomacałem je i trochę materiałów wywlókłem. Też takich, które miały nie istnieć. „List transportowych” z Kozielska do Katynia oraz z Ostaszkowa do Tweru też nie było.. a pewnego dnia – znalazły się.

W czasie „odwilży” pod koniec XX wieku z poradzieckich archiwów przyjechało do Polski wiele dokumentów, o jakich wcześniej nie śniło się badaczom. Nie zdziwię się, jeśli pewnego dnia archiwiści w Kijowie lub Moskwie – za zgodą „najwyższych czynników”, bo przecież nie z własnej inicjatywy



Święto wychowania fizycznego w Mrzygłodzie. Ferdynand Piwowar w białej koszuli z krótkimi rękawami.

- udostępnią „listy transportowe” do Charkowa. Będzie wtedy można uszczegółowić zeznania Mitrofana Wasilewicz Syromiatnikowa, w 1940 roku starszego dozorca w więzieniu wewnętrznym Zarządu NKWD przy ulicy Dzierżyńskiego w Charkowie.

Przywożono ich koleją w specjalnych wagonach – zeznał 31 lipca 1991. – Na Dworzec Południowy z Zarządu NKWD wyjeżdżały samochody, którymi przywożono Polaków do budynku Zarządu. Nieraz zdarzało mi się, że przyjmowałem Polaków i umieszczałem ich w celach. Z reguły w więzieniu przebywali oni krótko: dzień, dwa, a czasem kilka godzin po czym wprowadzano ich do piwnicy NKWD i rozstrzeliwano. Czy rozstrzeliwano ich na podstawie wyroków czy na podstawie innych decyzji sądowych – o tym nic mi nie wiadomo.

Wielokrotnie zdarzało mi się odprowadzać ich do piwnicy, gdzie widziałem, że do pomieszczeń piwnicznych wprowadzano ich grupami. W piwnicy znajdowali się prokurator; kto, dokładnie nie pamiętam oraz komendant Kuprij (wówczas był on komendantem Zarządu NKWD) i kilka osób z komendantury. Kto personalnie rozstrzeliwał Polaków – o tym mi nie wiadomo.

„Bandycka robota” pod nadzorem Moskwy

Czytelnikowi, który nie zna struktury NKWD trzeba wyjaśnić słowo „komendant”. Nie było to stanowisko dowódcze, a „tylko” funkcja wykonawcy wyroków śmierci. Komendantem w Charkowie był starszy lejtnant bezpieczeństwa państwowego - Timofiej Fiedorowicz Kuprij. Wypowiedź lejtnanta w kwietniu 1940 znaleźć można w protokole przesłuchania starszego dozorca Syromiatnikowa.

- Będziemy pracować, towarzysze- tak powiedział komendant Kuprij. Przyjechali Polacy, oni podlegają rozstrzelaniu. – Z Moskwy, z NKWD przyjechali, by kontrolować, jak przebiegają prace z Polakami...Patrzyli, jak Kuprij sobie poradzi, jak te wyroki będzie wykonywał. Oceniali, czy robi to dokładnie. On wiedział, że musi to sam wykonać, bo poza nim nikt by temu nie podolał. A co, miał kogoś do tego zajęcia wynająć? I płacić mu? A kogo? To czysto bandycka robota - oceniał Syromiatnikow.

Były dozorca wrócił też w zeznaniach do swojego udziału w „bandyckiej robocie”:

- Taki był w konwoju porządek: więźni idzie poza celę, musi założyć ręce do tyłu, bo trzeba je związać. Taki obowiązywał przepis. A czym wiązano oficerom ręce? Sznurkiem. A co to da, jak ja teraz powiem, jak ich wyprowadzano? Taki był rozkaz. Ot, przyprowadzał ich dozorca, ręce związane. Przyprowadzają do korytarza. Tam ja stoję w drzwiach. Ja otwieram drzwi; - Można? – Stamtąd „wchodźcie”. Za stołem prokurator, a obok komendant. Pytają: „nazwisko, imię, imię ojca, rok urodzenia i możecie iść”. Wtedy od razu „puk”. Po zabiciu im trzeba było głowy zawijać czymkolwiek. Żeby ona nie krwawiła. Zawijali bezpośrednio po rozstrzelaniu. Dwoje brało na nosze, dwoje na samochodzie stało, a dwoje nosze wynosiło. Samochód [w lesie] podjeżdżał nad dół, nie będą kłaść go tak, jak się chowa na cmentarzu. Wrzucają, w dole był człowiek, który poprawiał. My nie nadążaliśmy z robotą, spaliśmy wszystkiego po 3 godziny.

Tacy mądrzy, a poszli na wojnę?

Jeszcze przed prokuratorami Mitrofana Syromiatnikowa odnalazł redaktor Jerzy Morawski. I sypnął pytaniami. Chciał znać nazwiska czekistów z grupy egzekucyjnej. Zapytał o broń, z jakiej strzelali oraz o piwnicę - miejsce kaźni.

- Co wy tak badacie, jakby to niewinnych spotkała kara – zdenerwował się w pewnej chwili Syromiatnikow - niewidomy emerytowany funkcjonariusz NKWD/KGB.

- A czym zawinili? – polski dziennikarz nie rozumiał pytania.

- Przecież ci oficerowie, to „wysocy” ludzie. Pisarze, akademicy i podobni. Tacy mądrzy, a poszli na wojnę ze Związkiem Radzieckim.

- ?

- Zbuntowali się przeciwko naszej władzy tam, gdzie siedzieli. Wykopali podkop, rzucili się na strażników, chcieli uciec. I za to pomocnik Stalina, Beria, skazał ich na najwyższy wymiar kary.

Starszy dozorca Syromiatnikow nie powinien jednak narzekać na Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRR. Pomoc komendantowi nagrodzono wypłaceniem 800 rubli. Starszy lejtnant Kuprij, któremu tylko trochę pomagali inni czekści otrzymać nagrodę w postaci dodatkowego uposażenia miesięcznego. A ponieważ zarabiał około 2000 rubli miesięcznie, to nietrudno wyliczyć, ile kosztowało życie każdego z 4000 polskich oficerów, zamordowanych w piwnicy więzienia wewnętrznego Zarządu NKWD przy ulicy Dzierżyńskiego w Charkowie...

Z kim walczył Ferdynand Piwowar?

Nie wiem, z którym batalionem 2. pułku strzelców podhalańskich we wrześniu 1939 roku poszedł bronić Ojczyzny kierownik szkoły powszechnej w Mrzygłodzie – Ferdynand Piwowar. Nie udało się ustalić, czy dowodzony przez niego bo tak był przecież szkoleny- pluton karabinów maszynowych bronił polskich pozycji pod Mękorzewicami nad Nidą. Czy w składzie 1. batalionu bił się z Niemcami pod Konieczmostami, czy razem z 2. pod Jurkowem? Czy maszerował pod bombami przez lasy pod Bełżcem, później wzdłuż Tanwi, a 22 września na drodze Tarnogród-Sieniawa dostał się do niemieckiej niewoli? Gdzie z niej uciekł? Kiedy doszedł pod Tarnopol i tam wpadł w ręce Armii Czerwonej?

Wcale nie jest powiedziane, że na wojnę poszedł z 2. pułkiem strzelców podhalańskich – dopowiada dr Wojciech Moś, wybitny historyk wojskowości, a szczególnie wojsk górskich. ►

L. dz. 19/28

ŚWIADECTWO

Podchorąży kpl. plutonowy *Piowar Ferdynand*
z *48 pułku piechoty* ukończył w czasie od *2 listopada 1927 roku*
do *21 kwietnia 1928 roku* Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty
z wynikiem *dupernie dobrym* oraz lokatą *19/28*

[Signature]
Dowódca Kompanii Szkolnej

[Signature]
Komendant Szkoły Podchorążych

► – Sądzę, że był w jakimś ośrodku zapasowym, który wycofano lub ewakuowano na wschód. Większość zamordowanych to właśnie oficerowie rezerwy z jednostek tyłowych. W Sanoku po wyjściu 2. PSP na front pozostało ok. 1000 ludzi nadwyżek. Oddział ten 9 września wyruszył na Sambor, 11 września został zaatakowany przez Niemców pod m. Dąbrówka i tam rozbity. Część zebrała się później w Drohobyczu, a później przedzierając przez Kałusz i Nadwórna, dotarła do granicy węgierskiej.

Tyle historyk wojskowości. Mogło więc być tak, że ppor. Piowar nie strzelał ani do Niemców ani do Rosjan. Tzw. nadwyżki były słabo uzbrojone, zabrakło też broni dla 1000 rezerwistów zmobilizowanych w Sanoku. Może przyzwyczajone do skrzypiec dłonie nie dotknęły karabinu czy pistoletu? Tego prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. I to nawet gdyby istniały kartki ze Starobielska, w których zawiadamiał rodzinę o pobycie w obozie.

Trzy powody do rozstrzelania

Mogę tylko wyobrazić sobie, jak rodzina czekała na ujawnienia nazwisk oficerów wywiezionych ze Starobielska. Na oficjalne potwierdzenie, że transporty ruszyły 3 kwietnia, a na tzw. liście starobielskiej pod numerem 2744. przeczytać będzie można nazwisko Piowara Ferdynanda Józefowicza, urodzonego 3 maja 1905.

Informacja o ukaraniu rozstrzelaniem za bunt w obozie była jednym z wielu kłamstw, serwowanych ciekawskim, którzy mogliby zapytać, dlaczego przewozi się i rozstrzeliwuje „wojennoplennych”? Nie przewidywano, aby któryś z czekistów wyskoczył z podobnym pytaniem, ale na wszelki wypadek - wśród innych komentarzy do wywożenia z obozów kilkunastu tysięcy Polaków - zaserwowano opowieść o próbie ucieczki podkopem i śmierci strażników...

Emerytowany starszy dozorca więzienia wewnętrznego NKWD Mitrofan Syromiatnikow miał jednak rację: doprowadzani pod lufę nagana komendanta Timofieja Kuprija zasłużyli na najwyższy wymiar kary.

Podporucznik Ferdynand Stanisław Piowar - też zasłużył. Z trzech powodów:

Był oficerem Wojska Polskiego, może nie wybitnym, ale słowami „bardzo wartościowy” ocenionym przez przełożonych;
Był nauczycielem, może nie wybitnym, ale w Mrzygłodzie pod Sanokiem jako wychowawca - bardzo cenionym;
Był Polakiem.

Fotografie: udostępniła Anna Stanisława Tymoczko

Góralu, czy ci nie żal... Emigracja z Galicji

Z archiwum Jana Wielka

Góralu, czy ci nie żal; Odchodzić od stron ojczystych. Świerkowych lasów i hal; I tych potoków srebrzystych. Góralu, czy ci nie żal; Góralu, wracaj do hal.

Początek kilkuzwrotkowej pieśni, powszechnie znanej i często też śpiewanej. Jedni uważają ją za piosenkę biesiadno-biwakową, inni za hymn góralski, a jeszcze inni, wręcz za utwór patriotyczny. Śpiewana w różnych nastrojach, natężeniu ducha, w nostalgii i zadumie, przed i po wypiciu, w uniesieniu i frasunku. Różni też są jej wykonawcy – harcerze, turyści, zgromadzeni przy stole lub ognisku biesiadnicy, widzieliśmy też, jak z wysokości swego tronu śpiewał ją w Zakopanem sam papież Jan Paweł II. Popularna, co jasne, szczególnie wśród górali – tak po polskiej i słowackiej stronie – śpiewają ją w całej Polsce i na emigracji za oceanem. Istny fenomen.

Mało jednak ludzi zna historię tej bardzo popularnej pieśni. Otóż jej autorem jest znany i popularny niegdyś pisarz, poeta, komediopisarz i satyryk krakowski – Michał Bałucki (1837 - 1901), autor najbardziej znanej i granej niegdyś przez limanowski teatr amatorski komedii „Grube ryby”. Melodię – wg jednych – napisał kompozytor Witold Żelechowski, według innych Michał Świerczyński, jeszcze inni twierdzą, iż oparta jest na motywach znanej wtedy francuskiej ballady.

Pieśń powstała w drugiej połowie XIX wieku. Otóż wtedy, znany z wesołego życia Bałucki, został przymknięty (czyli – jak wtedy mówiono – „przywaroty”) za jakiś tam mało znaczący czyn natury „obyczajowej” w krakowskim więzieniu św. Michała. Traf chciał, że celę dzielił z młodym góralem, przyłapanym przez władze na próbie wyjazdu za chlebem – do Ameryki. Swoją wielką żal nie tylko za ojczystymi stronami, ale wobec srogich władz, w pewnych słowach opowiedział wrażliwemu poecie. Ten to pięknie uporządkował w zwrotki, zrymował i upublicznił pod tytułem „Za chlebem”. Pieśń ponoć upowszechnili wspomniani już skauci i harcerze, później żołnierze Piłsudskiego.

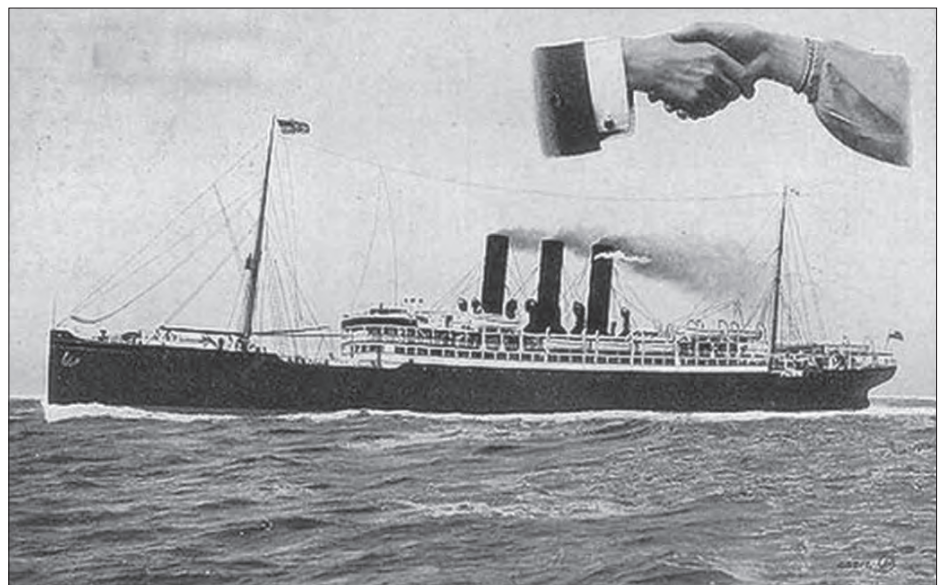
Treść pieśni bezpośrednio wiąże się z emigracją zarobkową- wielkim ruchem społeczno – gospodarczo-politycznym, który w ówczesnej Galicji rozpoczął się właściwie w drugiej połowie XIX stulecia. Trwa on przez 150 lat do dzisiaj, wywołując – jak i wtedy – spory, debaty i kłótnie polityczne. W tym wielkim ruchu społecznym uczestniczyli z oczywistych względów i mieszkańcy okolic Limanowej. A jak to niegdyś bywało – posłuchajmy:

Wychodźstwo za pracą z okolic Limanowej miało tradycje sięgające jeszcze XVIII wieku. Zasłużony badacz przeszłości wsi podgorczańskich – Sebastian Flizak w szkicu zatytułowanym „Z dziejów wsi nadrabskiej w pierwszej połowie XIX wieku” podaje, że w 1799 r. – a więc tuż po rozbiorach – wyjechały na Węgry w celach zarobkowych trzy córki Krzysztofa Lupy z Koniny. W cztery lata później wędruje w tym samym kierunku troje dzieci po Tomaszu Chalamie. Informacji tego rodzaju owa rozprawa przytacza zresztą więcej. Mieszkańcy Żmiącej i okolicznych wsi chodzili najpierw na teren zaboru rosyjskiego. Być może było to charakterystyczne dla gospodarki góralskiej

chodzenie „na bandos” – czyli z kosą na okres żniw zielonych i chlebowych. Korzystano tutaj z różnic klimatycznych pomiędzy górami a rejonami nizinnymi i wynikającym z nich różnych pór dojrzewania traw i zbóż. Komornicy wędrowali również jesienią na niziny z cepami jako „młockowie”, a wracali przed świętami Bożego Narodzenia zaopatrzony w zapasy chleba i ziarna.

Wędrowni za pracą nasilały się, gdy w Galicji zaczęto budować drogi i koleje. Budowa fortec w Krakowie (1846-66) i w Przemyślu (1880-85) poruszyła biedotę wiejską, która tłumnie tam wędrowała i pracowała głównie przy robotach ziemnych. Około 1850 roku rozpoczęła się emigracja do Rumunii, Węgier i Siedmiogrodu, nieco później do zagłębia ostrawsko-karwińskiego w Czechach. Zatrudnienie znajdowano przede wszystkim przy budowie linii kolejowych oraz w kopalniach i ceglarniach. Największe jednak rozmiary przybrały wyjazdy za pracą do Ameryki.

Franciszek Bujak w obszernej książce „Żmiąca – wieś powiatu limanowskiego” (wyd. w Krakowie, 1903r.) pisze: *iz ówczesna opinia publiczna – potępia surowo emigrację na Węgry i do Ostrawy. Ludzie bowiem wracali stamtąd bez grosza, ale za to z wszystkimi cechami proletariatu miejskiego, odznaczają się* ▶



Transatlantyk Columbia na starej pocztówce.



W drodze do ziemi obiecanej - pasażerowie III klasy statku płynącego do Ameryki. W kolejce do lepszego jutra.

lekkomyślnością, lekceważeniem wiejskich stosunków i publicznie popisując się swymi zdobyczami z podmiejskich karczem wyniesionymi, które ludzi żyjących w stosunkach przestarzałych, ale zdrowych, bardzo rażą.

Uznanie za to wielkie miała emigracja do Ameryki – głównie do Stanów Zjednoczonych; w mniejszym stopniu ceniono wyjazdy na Saksy – czyli do Prus. Z zachodu bowiem ludzie powracali z groszem, doświadczeniem znacznym i z poważniejszym nastawieniem i poglądem na życie. Emigracja do Ameryki – stwierdza Franciszek Bujak – wyrabia ludzi.

Obserwacje poczynione przez uczonego historyka i ekonomistę potwierdzają i inne przekazy. Reemigranci

powracający z Ameryki przywozili w okolice Limanowej nie tylko dolary, ale i nowe sprzęty i urządzenia, narzędzia rolnicze, nowoczesne wówczas spostrzeżenia o świecie, gospodarce i polityce. Wtedy to na wsiach limanowskich po raz pierwszy pojawiły się łyżki, widelec, zegary, fabryczne stroje, nowe odmiany warzyw i owoców. Gdy z Francji powróciła do Żmięcej bezrolna Wątrobina, przywozła ze sobą pierwszą w tej wsi „tarę do prania bielizny”. Podobno „baby” z odległych nieraz osiedli przychodziły popatrzeć, jak się na tym pierze.

Jak emigracja zarobkowa wpłynęła na zmianę oblicza ówczesnej wsi limanowskiej – dobitnie poświadczą relacja długoletniego kierownika szkoły

w Pisarzowej, Antoniego Górszczyka, który pisał: *Pierwsze jaskółki wyleciały za ocean około 1890 roku. Zaczęły do Pisarzowej napływać listy i dolary, wywołując ogólne poruszenie. Reemigranci powracali w pańskich strojach. Zegarki i łańcuszki lśniły na kamizelkach. Płótna ani samodzielne sukna na nich nie uświadczyły, tylko samą i to nie byle jaką materię fabryczną. Zaczęli opowiadać o wielkiej demokracji w Ameryce, o równości robotnika i pracodawcy. Opowiadali, że tam nikt nikogo – nawet księdza – nie całuje po rękach, nie oblatuje za nogi, nie czapkuje, że komornik i kmieć są takimi samymi ludźmi. Wszystkie te herezje poparte były przywiezionymi sutymi zarobkami w dolarach. We wsi*



Ślub Agaty Gawron w Ameryce. Z Polski Agata Gawron wyjechała w 1912 roku.



Agata Gawron z mężem i dziećmi.

zawrzało. Autorytety wystąpiły zgodnie przeciw przybyzsom i głoszonym przez nich hasłom. Księża byli oburzeni, że przybysze nie całują ich po rękach ani w kościele nie okazują należnej pobożności. Gazdowie nie mogli im przebaczyć wypowiedzianych twierdzeń o równości społecznej. – Widział to świat – dziwili się oburzeni...

Rodacy nasi, pracując i oszczędzając z istic chłopskim uporem, dochodzili do znacznej oszczędności i przywozili nieraz po kilkanaście tysięcy dolarów, co przeliczane na marki czyniło zawrotne dla wsi sumy (...).

Reemigranci domy budowali na nową modę, duże, obszerne, widne, zabudowania gospodarcze na wyrost, a wszystko kryte dachówką. Zakładano sady owocowe i zaopatrywano się w maszyny rolnicze. We wsi zaczęła się tworzyć nowa warstwa przodownicza. Kmiecie patrzyli na te nowości z zawiścią i zgrozą. Przybysze byli to synowie wczorajszych zagrodników i komorników. Rody kmieci przeważnie nie wysyłały swych synów za ocean i w tym ruchu nie brały udziału.

Ze wsi bezpośrednio sąsiadujących z Limanową pierwszy do Ameryki wyjechał ponoć w 1880 roku Jan Szewczyk z Mordarki, który za zarobione dolary kupił z parcelowanego majątku dworskiego 8 hektarów pola. Zachęciło to do wyjazdu innych. Przed I wojną światową z niewielkiej Żmiałej przebywało „za wodą” aż 137 osób (9,5 proc. mieszkańców tej wsi), z Mordarki 150, ze Starej



Emigranci z Galicji.

Wsi w samym tylko 1902 roku wyjechało 51 osób. Z tej ostatniej wsi przed wybuchem I wojny światowej pracowało w USA już 310 osób (253 mężczyźni i 57 kobiet) i według relacji Walentego Gawrona (znanego ludowego pisarza Limanowszczyzny), w jednym tylko roku przysłali oni dolarów na kwotę stanowiącą równowartość 100 tys. koron austriackich.

Do Ameryki wyjechała również w 1912 roku siostra Wincentego Gawrona, Agata. Kiedy wyjechała, miała zaledwie 18 lat. Było to dla niej wielkim przeżyciem, o czym po latach napisała we wspomnieniach zatytułowanych „Na ziemi limanowskiej i amerykańskiej”, które wydała rodzina Gawronów, w roku 2000 w Polsce - jedenaście lat po jej śmierci (1989 r.).

Tak opisuje Agata Gawronianka, wędrowniczkę z Limanowej do Ameryki: 2 listopada 1912 roku, o pierwszej godzinie po północy przyjechał pociąg, który zabrał mnie do nieznanego kraju. Jechało nas pięć dziewcząt z okolicy Limanowej: Ja Agata Gawronianka, Anna Podgórna ze Starej Wsi z Łąk, Anna Mucha, Anna Chudy, córka Piotra Chudego ze Sarczyna z Mordarki i jedna dziewczyna ze Siekierzyny. Byłyśmy pod opieką Walentego Króla, który jechał do Ameryki z dwoma szwagrami, pochodzącymi z Bielska. Król jechał do Ameryki już trzeci raz zostawiając w kraju swą żonę i czworo małych dzieci.

Król wybrał drogę do Ameryki przez Czechy i Wiedeń do Rotterdamu w Holandii.

Słyszac dużo o Wiedniu i rodzinie cesarskiej Franciszka Józefa Habsburga, pod którego panowaniem wówczas my byliśmy, byłam rada, że zobaczę choć z daleka pałac cesarski, a może także jego mieszkańców, lecz to było tylko marzeniem.

Do Wiednia przyjechaliśmy wieczór. Po przesiadce do innego pociągu pojechaliśmy dalej. Wtłoczeni jak śledzie do beczki zajechaliśmy do Rotterdamu pod wieczór. Tam ulokowani zostaliśmy w hotelu, gdzie podano nam coś do jedzenia oraz przenocowano. Po świetnie przespanej nocy podano coś na śniadanie, a po śniadaniu zabrano nas do przystani i na małym statku popłynęliśmy przez „Kanał Angielski” (kanał La Manche – przyp. red.) do portu Glasgow w Szkocji. Po krótkim pobycie w Glasgow zabrano nas na duży, o trzech kominach parowiec i po załatwieniu formalności parowiec

ruszył i powoli wypłynął z portu na pełne morze i zaczęło się kołysanie, z tego kręcenie, czyli zawroty głowy i wymioty – choroba morską.

Walenty Król, widząc moje osłabienie, przyniósł mi kieliszek gorzałki i zabrał mnie na pokład, na świeże powietrze i trochę mi ulżyło. Jednak przez pięć dni morze było bardzo burzliwe. Okręt choć był bardzo duży, bardzo się kołysał i szum był ogromny. Na pokład nikt nie wychodził. Większość leżała w kabinach. Parowiec, na którym płynęliśmy z Glasgow w Szkocji do Stanów Zjednoczonych nazywał się „Columbia” i gdy przyплыł do portu w Nowym Jorku, widzieliśmy z dala olbrzymią Statuę Wolności, jako symbol amerykańskiego kraju i narodu. Gdyśmy przyплыли, zaprowadzono nas do sali, gdzie lekarze egzaminowali i badali, szczególnie oczy. Po przeprowadzonych badaniach udaliśmy się na pociąg z Nowego Jorku do Chicago. Przyjechaliśmy do mego kuzyna Jana Twaroga, który mieszkał tam ze swoją żoną, która pochodziła z rodziny Ociepków z Mordarki. W Chicago osiedlało się dużo ludzi przybyłych z naszych okolic, czyli z powiatu limanowskiego (...).

(Statek Columbia powstał w stoczni D. & W. Henderson w Glasgow na zamówienie szkockiego towarzystwa żegludowego Anchor Line. Statek ten, o pojemności 8292 BRT, długości 148m i szerokości 17,20m rozwijał 16 węzłów dzięki turbinom parowym obracającym dwie śruby napędowe. Zabierał łącznie 1303 pasażerów: 345 – w klasie 1, 218 – w klasie 2 oraz 740 – w klasie 3. Ceremonia wodowania miała miejsce 22 lutego 1902 roku, a w dziewiczą podróż ruszył 17 maja 1902 roku, płynąc z Glasgow przez Moville (Irlandia) do Nowego Jorku – przyp. red.)

Przejazd do Ameryki kosztował 200-400 koron austriackich. Niektórzy, by zdobyć tę kwotę, zaciągali pożyczki, bądź też sprzedawali kawałek pola. Od wyjazdu odstraszały artykuły prasowe opisujące niebezpieczeństwa, na jakie narażony jest chłop w nieznanym sobie kraju, gdzie nie tylko język, ale całe urządzenie świata jest odmienne. Szczególnie straszono podróżą statkiem, burzami morskimi i chorobami. Wyjazdom przeszkadzały również władze administracyjne i kościelne – szczególnie w wyłapywaniu emigrantów wsławił się starosta limanowski Józef Wołoszyński i miejscowy posterunek żandarmerii.

Pęd do pracy i sutego zarobku był jednak silniejszy od wszelkich przeciwności. Niektórzy za ocean wyjeżdżali po kilka razy. Mój dziadek – Józef Wielek ze Starej Wsi – był w Ameryce aż trzykrotnie i raz w Prusach. Zdobywanie wielkich fortun nie jest jednak specjalnością mojej rodziny, bo mój przodek za zarobione pieniądze zakupił tylko niewielki kawałek pola z parcelowanego przez Żydów folwarku na Majeżu, reszta jakoś mu się rozeszła.

Część emigrantów pozostała za oceanem na stałe. Jedni założyli rodziny, innym powrót uniemożliwiła I wojna światowa. Lepsze warunki do życia nie zabijały jednak pamięci o rodzinnej ziemi. *Zosiu – pisał emigrant ze Żmiącej do swojej kuzynki – 33 lata, jak my się żegnali. Kawał czasu, ale mimo to pamiętam dużo z tych czasów. Mój pobyt w Żmiącej nie jest zatarty w głowie, może dlatego, że najpiękniejsze lata tam spędziłem. Nieraz w nocy, gdy spać nie mogę, chodzę po tych polach, miedzach i pięknych lasach (...).*

W Ameryce polscy emigranci łączyli się w różne związki i kluby. Jeszcze w okresie międzywojennym działał na terenie USA Klub „Powiat Limanowa”, przekształcony później w Klub „Limanowa”, należący do Związku Klubów Małopolskich w Ameryce. Stowarzyszenie to było uczestnikiem III Sejmu Klubów Małopolskich w Ameryce, który odbył się w 1931 roku w Chicago. Zarząd tego klubu, wybrany na zjeździe w 1969 roku, składał się z następujących osób: *Franciszek Borowy* – prezes, *Maria Kalinowska* – wiceprezes, *Wiktoria Howaniec* – sekretarz, *Franciszek Juszcak* i *Stefania Saletrowicz* – członkowie.

Stosunek do wielkiego ruchu emigracyjnego z Polski do Ameryki, który rozpoczął się w Galicji w drugiej połowie XIX wieku wyraża w swoim wierszu Władysław Żurowski, chłop z Niedźwiady (wieś położona w woj. podkarpackim – przy. red.)

*Jest w Ameryce duża drużyna/
Co chłopskich synów w szeregach trzyma/
Całej Polonii jest Związek Klubów/
To Małopolan jest Związek Klubów/
Za chlebem szara brać tu jechała/
Lecz młodość Polski w sercach została/
Choć się tu w pracy zalewa potem/
Wytrwał, ponieważ był polskim chłopem (...).*

*Fotografie ze zbiorów
Wincentego Gawrona, Internet*

Wspomnienia o prof. Witoldzie Jończyku

Zofia Wiśniewska

W pierwszych latach istnienia Miejskiego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej obowiązywała nauka łaciny. Trwało to do reformy szkolnictwa średniego i przemianowania istniejącego zakładu szkolnego w Państwową Szkołę Ogólnokształcącą stopnia licealnego.

Zgodnie z reformą szkolnictwa wprowadzono też nowy program nauczania, w którym nie było już miejsca na język klasyczny. Zamiast niego zaczęła obowiązywać nauka języka rosyjskiego i dodatkowo „do wyboru” jeden z języków zachodnioeuropejskich. Ostatni rocznik uczący się łaciny to młodzież, która zdawała maturę w 1951 r. Usuwając łacinę, władze oświatowe popełniły wielki błąd i uczyniły krzywdę uczniom, którzy jako kierunek dalszych studiów wybierali nauki: przyrodnicze, medycynę, prawo, a nawet kierunki humanistyczne. Na szczęście po latach przyszło opamiętanie i łacina wróciła do szkół średnich. Uczą się jej ci, którzy mają zamiar wybrać kierunek, na którym będzie potrzebna.

W limanowskim Liceum profesorowie łaciny szybko się zmieniali, bo ciągle trwała migracja osób szukających swego miejsca w budzącym się do życia kraju.

Przez pierwsze pięć miesięcy od momentu otwarcia limanowskiej szkoły średniej do zakończenia skróconego roku szkolnego w lipcu 1945 r. nauczał tego przedmiotu prof. J. Chrobaczek, potem przez dwa lata pani prof. Dymek, która również opuściła nasze miasto w 1947 r. Właśnie wtedy udało się ówczesnej dyrekcji Liceum zatrudnić prof. Witolda Jończyka i to był prawdziwy „strzał w dziesiątkę”.

Pan Prof. W. Jończyk był świetnym lingwistą. Oprócz łaciny znał grekę i języki – angielski, niemiecki i francuski. W naszym Liceum uczył głównie łaciny i w dwóch klasach j. angielskiego.

W naszej klasie miał właśnie łacinę. Naukę tego przedmiotu prowadził po mistrzowsku. Był pedagogiem bardzo wymagającym, o żadnych „łatwiznach” i korzystaniu z bryków nie mogło być mowy. Bryki traktował niemal jak bardzo złośliwą, zakaźną chorobę, która zawsze doprowadza do groźnych następstw.



Profesor łaciny Chrobaczek z młodzieżą na „Krzyżowej” w Sowlinach - 1945 rok.

Na wstępie sprawdził nasze dotychczasowe wiadomości, które okazały się niezbyt imponujące. Poprzednia profesorka chociaż bardzo miła, niewiele od nas wymagała. Trochę słówek, nieco gramatyki – resztę załatwiał bryk i to było nasze nieszczęście. Nowy profesor wytknął nam wszelkie mankamenty, niewiedzę, ignorancję takiego pięknego, klasycznego języka, z którego nasz rodzimy czerpał przez całe stulecia całymi garściami i zapowiedział, że zrobi z nas „ludzi”, tylko musimy chcieć i mieć dużo dobrej woli.

Dobra wola jakoś się znalazła, gorzej było z chęciami, bo te są u uczniów jak wiosenny wiatr. Na żadne ulgi nie można było jednak liczyć. O brykach należało jak najszybciej zapomnieć. Najbardziej żalowali ci, którzy przez dwa wakacyjne miesiące zamiast pluskać się w Łososinie lub innej rzeczce przepisywali z trudem wypożyczony bryk do misternie sporządzonego małego kajecika. Tyle czasu poszło na marne, bo Profesor był nieubłagany i zaraz poznał „brykowe”, gładkie tłumaczenie. Musieliśmy prowadzić równoległe kilka zeszytów – do słówek, gramatyki, tłumaczeń, cytatów i porównań z naszym rodzimym językiem. Początkowo nauka łaciny tym nowym sposobem zabierała sporo czasu, ale po zdobyciu wprawy wszystko okazało się proste i zadziwiająco łatwe. Tłumaczenie literackie było sprawą wtórną. Jeżeli uczeń zbyt gładko przekładał tekst łaciński na naszą ojczystą mowę, zachodziło podejrzenie, że korzystał z bryka i dostawał polecenie tłumaczenia dosłownego, co bez znajomości gramatyki i słówek było niewykonalne.

Na lekcjach obowiązywała stała gotowość, bo Profesor wzywał do odpowiedzi tych samych uczniów nawet kilka razy. Sprawdzał też dokładnie pracę domową „Wieczni odpisywacze” mieli ogromnie utrudnione życie, bo wypracowania były długie, pracochłonne, a przerwy stanowiły za krótkie, by je przepisać. Zmęczeni, zestresowani uczniowie musieli się poddać rygorom i zabrać do samodzielnej pracy. Zapisywane w specjalnym zeszycie przykłady gramatyczne, opanowane pamięciowo, służyły do tworzenia podobnych form. Systematyczna praca sprawiała, że bogata gramatyka j. łacińskiego nie była już dla nas trudna. Metoda zastosowana przez Pana Profesora odwoływania się do norm w tym klasycznym języku przynosiła świetne rezultaty. Pan Profesor

uwielbiał łacińskie maksymy i przyzwyczajał nas – uczniów do posługiwania się nimi. Zapisywaliśmy je w specjalnym zeszycie zatytułowanym „Silva rerum” (zbiór wiadomości).

Mądre i trafne służyły czasem do popisania się erudycją w późniejszym dorosłym życiu. Jeśli uczniowie byli przygotowani do lekcji i szybko opanowali materiał, a pozostało jeszcze nieco wolnego czasu, Profesor opowiadał nam o swoich przedwojennych podróżach, pracy przy wykopaliskach, zwiedzaniu zabytków rzymskich i greckich. Uczniowie pochłaniali te wiadomości i zadawali pytania, bo takie to wszystko wydawało się w owym czasie dziwne, piękne, osobliwe i dalekie. Profesor żałował, że fotografie i pamiątki z tamtych lat zniszczyła wojna. O przeżyciach wojennych nie opowiadał nigdy.

Myszę, że te wspomnienia, przywoływanie innych, nieznanych nam, ale pięknych światów przyczyniło się do tego, że zaczęliśmy doceniać naszego Profesora. Może nie wszyscy, ale większość uczniów dostosowało się do jego wymogów, a to znalazło odbicie w ocenach i zachowaniu.

Co pewien czas w Liceum odbywały się tzw. akademie „ku czci”. Pan Profesor nie lubił tego typu występów. Aby jednak nie zostać posądzonym o złe intencje i wygodnictwo przygotował raz lub dwa razy w roku wieczornicę opartą na adaptacji antycznych dzieł literackich. Przeważnie o pomoc w wyborze tekstów prosił p. prof. Eugenię Naturską, ceniąc jej wszechstronną wiedzę.

W ostatnim roku pobytu Profesora w naszym Liceum wybór padł na „Eneidę” Wergiliusza najwybitniejszego rzymskiego epika. Wybrane fragmenty mówiące o przeszłości Rzymu były bardzo trudne, toteż przygotowanie wieczornicy trwało długo, bo aż 5 miesięcy.

Pan Prof. W. Jończyk osobiście wybierał „aktorów”, powierzał im role i prowadził próby. Pani Prof. E. Naturska ze względu na to, że mieszkała w bursie i miała większe możliwości kontaktu z uczennicami zajęła się przygotowaniem kostiumów i dekoracją. Kiedy wszystko już było gotowe, należało zawiadomić odpowiednie czynniki polityczne i uzyskać zgodę na urządzenie wieczornicy. Bez takiej zgody nie można było niczego przedsięwziąć. Z odpowiednim pismem wystąpiła Dyrekcja Szkoły. Zanim zgody udzielono, miejscowe władze przysłały

swojego pracownika, by zobaczył widowisko i wyraził swoją opinię. Pan Profesor stanął na wysokości zadania i przygotował ucznia do godnego przywitania gościa. Przedstawiciel władzy przybył i wysłuchał stosownej oracji wygłoszonej po łacinie, a potem usiadł w pierwszym rzędzie, by ocenić występ. Okazało się, że to był bardzo życzliwy i szlachetny człowiek. Żegnając się, powiedział szczerze i bez wykrętów: *Niewiele z tego zrozumiałem, bo nie mam takiej wiedzy, ale „wystawiajcie”, bo zgrabnie wam to idzie. Nie można zniszczyć waszego trudu.* Chociaż nie potrafił należycie ocenić widowiska, miał odwagę powiedzieć prawdę, a to już dobrze o nim świadczyło.

Pan Profesor był samotnikiem. Nie nawiązał z nikim przyjaźni, wychodził na spacer z książką pod pachą. Inna sprawa, że wówczas nie było w naszym mieście żadnych lokali, w których można by było usiąść i porozmawiać. Brakowało także mieszkań, dlatego każdy po wstępnym okresie szukał takiego miejsca, w którym lepiej by mu się żyło.

Pan prof. Witold Jończyk odszedł z Limanowej w 1950 roku. Tylko jeden rok dzielił nas od matury. Otrzymał propozycję objęcia lektoratu j. łacińskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie był rodzinnie związany z grodem Kraka, ale zdawał sobie sprawę, że w nim będzie miał większe możliwości rozwoju i wykorzystania wiedzy. Był też inny powód opuszczenia naszego miasta. W nowym programie 11-letniej Szkoły Ogólnokształcącej nie było już łaciny. Mógł zostać i uczyć innego języka. Miał jeszcze do wyboru trzy, ale nie chciał. Łacina była dla niego najważniejsza, był jej fanem. Szkoda tak wspaniałego pedagoga, który nie pobrażał leniwym, nie szczędził ostrych słów „opornym”, ale był sprawiedliwym człowiekiem ceniącym wiedzę i pilność. Profesor Witold Jończyk już nigdy nie odwiedził Limanowej, nie brał udziału w naszych zjazdach koleżeńskich, mimo iż go szczerze zapraszaliśmy. Może nie czuł się związany z naszym miastem, a może nosił w sercu jakąś inną zadrę?

Fotografia: arch. Stefanii Florek

Jesteśmy z Państwem już 138 lat!

*Działamy w oparciu o bogate doświadczenie, które wykorzystujemy w bieżącej pracy!
Dzięki osiągniętych wynikom finansowym dynamicznie się rozwijamy!*

*Aktywnie uczestniczymy w życiu lokalnej społeczności
wspierając finansowo liczne inicjatywy kulturalne i sportowe!*



Kompleksowo obsługujemy
finanse klientów indywidualnych,
firm i instytucji poprzez:

- atrakcyjne kredyty, korzystne lokaty, obsługę walutową,
- bankowość elektroniczną, ubezpieczenia,
- największą w Polsce sieć bezpłatnych bankomatów,
- karty Visa, MasterCard, usługi rozliczeniowe,
- międzynarodowe przekazy pieniężne MoneyGram,
- doładowania telefonów komórkowych.

Oddziały:

Laskowa

34-602 Laskowa 486,
tel: (18) 33 33 004

Kamienica

34-608 Kamienica 412
tel: (18) 33 47 560

Dobra

34-642 Dobra 816,
tel: (18) 33 30 004

Łukowica

34-606 Łukowica 282,
tel: (18) 33 35 006

Szczyrzyc

34-623 Szczyrzyc 188,
tel: (18) 33 26 320

Kraków

ul. Kamieńskiego 47, 30-644 Kraków,
tel: (12) 357 77 77

Tarnów

ul. Krakowska 131, 33-100 Tarnów
tel: (14) 628 89 20

Nowy Sącz

ul. Jagiellońska 10, 33-300 Nowy Sącz
tel: (18) 44 44 478

Limanowa

Rynek 7, 34-600 Limanowa
tel: (18) 33 79 100



**DACHÓWKA
BETONOWA**

Braas Celtycka lumino,
kolor czarny

19,90 zł/m²



**DACHÓWKA
CERAMICZNA**

BRAAS Rubin 9V
kolor antracyt

33,80 zł/m²



ZAPRAWA KLEJĄCA ZS
do styropianu

11,99 zł/25 kg

ZAPRAWA KLEJĄCA ZU
do styropianu i wykonywania
warstwy zbrojonej

16,99 zł/25 kg



TYNK AKRYLOWY

1,5 mm, faktura kamyczka
różne kolory

od 89,00 zł/25 kg



**GIPS SZPACHLOWY
SATYN**

PW 01 - 25kg

24,90 zł/25 kg



**GŁADŹ
TYNKOWA
SATYN**

PG-41 - 20 kg

27,90 zł/20 kg



**MASA SZPACHLOWA
MASTER 28 KG**

49,00 zł/28 kg



**FARBA
ŚNIEŻKA EKO 10l**

44,90 zł/10 l

Oferta ważna do wyczerpania zapasów.